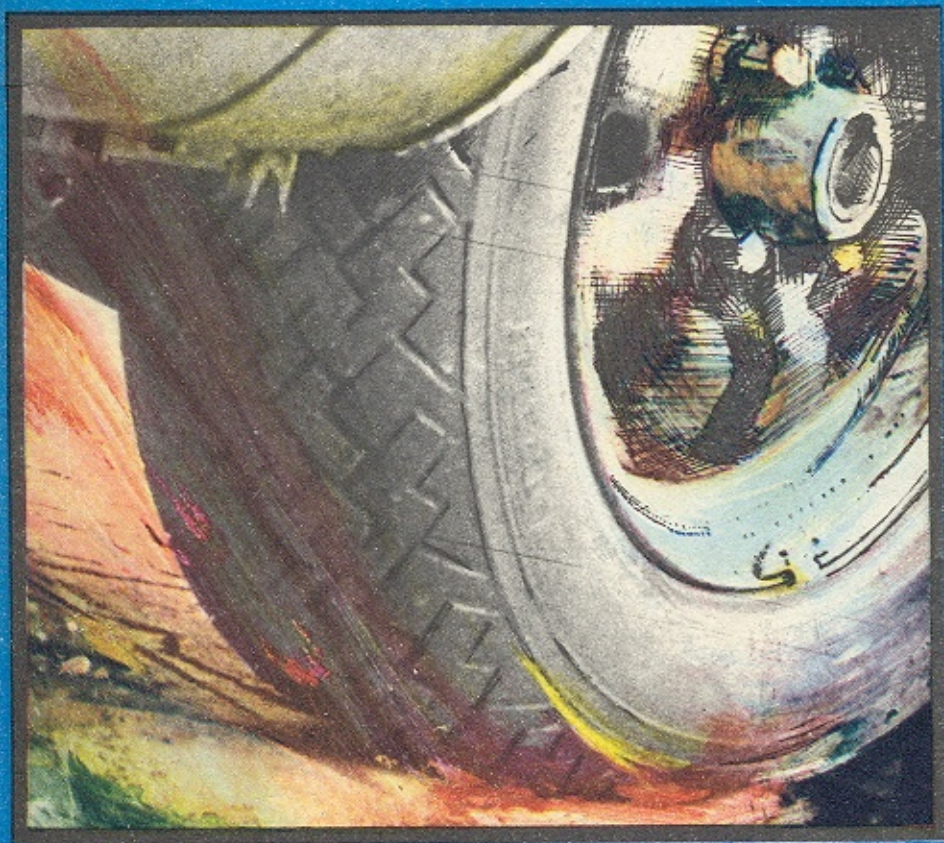


*Ewa wzywa 07...*



Maciej Zenon Bordowicz  
JEŹDZIEC NA OGNIU

---



ISKRY



*Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...*

---

Maciej Zenon Bordowicz  
JEŹDZIEC NA OGNIU

---



ISKRY · WARSZAWA · 1981

---

© Copyright by Maciej Z. Bordowicz, Warszawa 1981



Kapitan Olecki przejrzał się w lustrze i stwierdził z zadowoleniem, że już od dawna nie oglądał równie wykończonego faceta.

„Tak jest, oto prawdziwe, rzetelne oblicze stróża porządku publicznego. Tak... Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś. Wszystko by grało, tylko że ty, stareńki, jesteś rzeczywiście i dokumentnie wykończony. Potykasz się o własny cień, zdążyłeś zrobić już sobie z mózgu wodę, między czwartym a piątym piętrem dostajesz zadyszki, siatka z zakupami sąsiadki, której zaoferowałaś dżentelmeńską pomoc, wydała ci się napelnionym kamieniami worem. Dno, kapitanie Olecki. Wszystko to należy dotlenić, rozruszać, postawić na nogi. Chciałbym mieć teraz pod ręką tego telewizyjnego gadułę od »ścieżki zdrowia«. Chciałbym go teraz zapytać, kiedy i jak mam swoją ścieżkę uprawiać. To dobre dla takiego Kubisza. Ten ancymonek między jednym rozdziałem a drugim zawsze znaleźć na to czas. Zreszta i tak nic po nim nie widać. Biega nie biega, ten sam bagażnik z przodu i gęba, jakby na kolację wciął wyłącznie spaghetti. Przed miesiącem robiłeś z rana pięćdziesiąt »pompek«. Może spróbować? Opanuj się, stareńki, kto będzie wzywał pogotowie? No nic, »Raskolnikow« siedzi, a przed tobą cały wolny i luźny miesiąc. Poza tym, jeśli wierzyć głównemu prognostykowi — jest to najbardziej w tym kraju zaciekawiający i anonimowy facet, któremu miliony ludzi miliony razy życzą długich lat ciężkich robót — więc jeśli mu wierzyć, będziesz się, stareńki, opędzał od słońca i błagał niebios a o deszcz”.

Spojrzał znowu w lustro.

„Nie sądzi pan, kapitanie Olecki, że należałoby zrobić jakiś porządek na tej mordzie?”.

Włączył do kontaktu golarkę, której nie znosił. Wołał zwykłą maszynkę, ale o używaniu golariki decydował czas. Teraz złapał się na tym i natychmiast brzęczydło wyłączył. Od dzisiaj jest na urlopie, ma przecież kupę czasu.

W przeciwieństwie do podobnie jak on zalata-

nych, zawalonych pracą kolegów, którzy rezygnowali z urlopu, bo — sprawa nie została zakończona, albo — sprawa dopiero się zaczynała, Olecki twardo obstawał przy należnym mu odpoczynku. Jego kalkulacja była prosta: nie „na siłę”. „Przychodzi okres, bo przyjść musi, kiedy jestem nieproduktywny, nieefektywny itp. Nikt, na czele ze mną, nie będzie miał z mojej pracy korzyści. Oczywiście, mogę jako tako funkcjonować, działać. Ale jest to niebezpieczne, może prowadzić do zniekształceń, marnowania zarówno mojego wysiłku jak i solidnej roboty innych”.

Jasne, że zależało to od charakteru prowadzonej sprawy. Olecki wychodził z założenia, że każde przestępstwo ma swój czas. Jeśli był pewien, że jego urlop zmieści się w tym czasie, że nawet będzie to coś w rodzaju pozornego uniku w stosunku do przestępcy, wtedy bez mrugnienia powiekiem dobijał się u swoich szefów o należy mu odpoczynek. Zostawiał tylko kogoś, kto trzymał rękę na pulsie, i „z głowy”.

W większości wypadków udawało mu się finalizować sprawy „na pięć przed dwunastą”. Tak jak teraz, przed tygodniem.

Wczoraj zadzwonił do przyjaciela. Kumple z jednego podwórka, potem kończyli razem prawo. Kubisz panoszył się w fikcji. Na kartach swoich książek mordował zapamiętałe, oszukiwał, kradł, sprzeniewierzał. Potem musiał ten cały bałagan porządkować, każde draństwo obnażać i zazwyczaj czynił to przy pomocy natchnionego oficera MO, którego postać za każdym razem wprawiała kapitana Oleckiego w stan powściągliwej irytacji.

Radosnym tonem oznajmił Kubiszowi, że wybiera się na urlop. Pisarz poczytnych powieści kryminalnych odpowiedział, że również coś takiego zaplanował. A potem zaskoczył kapitana, wbił go zdumionego w fotel i kazał tam pozostać nieruchomo przez kilka minut.

Otóż...

Marian Kubisz zbuntował się przeciwko samemu sobie. Powiedział sobie — dość! Nie wiadomo



tylko, na jak długo. Technikę fabularną, stwierdził przez telefon, mam w jednym bijącym w klawisze maszyny palcu. Czy ja nie mogę tych moich nęgosów zmienić w ludzi, którzy mają inne problemy niż te, którymi zajmują się organa sprawiedliwości?... Było to niemal wykrzyżane, dramatycznie i z pasją. „Doktora Faustusa” nie napiszę, ciągnął autor „kryminałów”, ale stać minie na „normalną” psychologiczną powieść, powieść z głębią.

Ni mniej ni więcej tylko tak sobą zadysponował Maniś Kubisz, pisarz o stutysięcznych nakładach. W pewnym momencie Olecki nie wytrzymał i zapytał złośliwie, jak się posuwa budowa dachy Kubisza na wolnym jeszcze skrawku ziemi nad Zalewem. Pisarz zbył to milczeniem. Rozwinął natomiast temat radosnej twórczości. Wyjeżdża już, zaraz, nie zdradzi nawet przyjacielowi miejsca pobytu. Potrzebuje koncentracji, ciszy, spokoju, wyrzuci nawet za okno zegarek, nie bierze radia, tranzystorowego telewizorka, z książek zabiera ze sobą tylko „Ulissesa”.

Podobnych „pierduł” wysłuchał kapitan Olecki znacznie więcej i nie przejął się nimi za bardzo. Znając przyjaciela przewidywał, że przy jego systemie „produkcji” napisze tę wnoszącą go na Parnas powieść w ciągu trzech tygodni z zegarkiem w rękę, życie towarzyskie autora w żadnym wypadku na tym nie ucierpi i w niczym nie będzie przypominać żywota literackiego eremity. Wreszcie umiętności pisarskie przyjaciela budziły jego szczere wątpliwości, miał nawet pewność, że nie doprowadzą go choćby do podnóża owej mitycznej góry. A poza tym... Nie dałby głowy za to, czy Kubisz w trakcie pisania nie namówi jakiejś postaci na oszustwo, kradzież, zbrodnię i czy nie pojawi się nagle na kartach powieści natchniony officer MO, który będzie miał skomplikowane życie domowe (powieść psychologiczna), ale który wszystko do końca pięknie i z morałem wyjaśni.

Cześć — cześć!... Odłożyli słuchawki.

Przeciągnął dłonią po zarośniętych szczękach. Zarost miał silny, powinien się właściwie golić dwa razy dziennie. Chciał już nałożyć warstwę piany na twarz, kiedy uprzytomnił sobie, że jest człowiekiem wolnym.

„Kapitanie Olecki, może pan sobie przez miesiąc pozwolić na brodę. Tak jest, wyhoduje pan sobie na szczęce Puszcze Białowieską i nikt nie ma prawa mieć tego panu za złe. Kiedy ja ostatni raz nosiłem brodę? Chyba na czwartym roku... Siedzieliśmy z Mańkiem nad jeziorami, w Pasiece...”

To było wtedy? Jasne, że wtedy. Nikt wówczas nie nosił brody, teraz co drugi w nią się ubiera. Kapitanie Olecki, możesz być przez miesiąc tym »co drugim«. Te dziesięć minut, przeznaczonych na golenie powiększy czas, który poświęcisz na »ścieżkę zdrowia«. Ha ha ha!...”

Wyszczerzył do siebie w uśmiechu zęby i pianą z pędzla pacnął w lustro.

W pół godziny potem, spakowany już, z umieszczonym pieczolowicie wędkarskim sprzętem, wsiadał do czerwonego „malucha”.

Była godzina szósta rano. Szosa o tej porze prawie pusta, jechał na północ. Słońce turlało po szosie „malucha” jak zarumienione jabłuszko. Kapitan nie schodząc poniżej dziewięćdziesiątki, co było dla jego fiacika życiową szybkością, pogwizdywał sobie i nucił. Między innymi — „Wsiąść do pociągu byle jakiego, nie mieć na bagaż, nie mieć na bilet...” Pogwizdywał, aż wreszcie musiał gwizdnąć głośno i przeciągle.

Nie zdążył zauważyć we wstecznym lusterku żółtej lady, która przemknęła obok niego i nietrudno było obliczyć, że musiała mieć na liczniku przynajmniej sto-dwadzieścia.

Zapamiętał numery, aż nadto znajome numery.

Pisarz powieści kryminalnych, w rajdowej czapeczce na głowie, przyssany do kierownicy jak do wysokości wynagrodzeń, oddalał się w perspektywie szosy pozostawiając kapitanowi obłok spalin do powąchania.

Olecki uśmiechnął się.

— Daj ci Boże, Maniek, po drodze jakiś patrol.

Prorokował, no i stało się.

Nie ujechał nawet pięciu kilometrów, kiedy zobaczył stojącą na poboczu żółtą lady, radiowóz, dwóch młodych milicjantów z drogówki i miotającego się między nimi Kubisza. Ten zdjął już rajdową czapkę, nałożył za to okulary, gestykulował, coś tłumaczył, przedstawiał jakieś dokumenty, papiery, świadcząc pewnie o tym, że całe swoje literackie życie oddał na usługi oficerów dochodzeniowych MO.

Olecki poczuł satysfakcję, którą w pełni mogą docenić i zrozumieć tylko kierowcy małolitrażowych pojazdów. Zwolnił przed kontrolą, cały czas zresztą jechał prawidłowo, zrównując się z patrolem nacisnął lekko klakson. Milicjanci zareagowali, Kubisz także. Pozdrowił przyjaciela ręką i dodał do tego rozbrajający uśmiech. Potem znowu nacisnął pedał przyśpieszenia i już po chwili fiacik wskoczył w kolejną dziewięćdziesiątkę kilometrów na godzinę.



Po pewnym czasie Oleckiego ruszyło jednak sumienie. Może się Kubisz nie wytlumaczy, może nie skończy się na mandacie, może mu prawko...

Chciał już zawrócić i dobrze, że tego nie zrobił. Spojrzał we wsteczne lusterko, zobaczył żółtą plamę, która w ułamek sekundy potem jak UFO przeleciała po jego lewej stronie i za chwilę stała się znikającym punktem zatracając się coraz bardziej w perspektywie szosy.

— O, skurczysyn!...

Olecki zapragnął nagle siedzieć za kierownicą jakiegoś porsche'a. Dogonić autora „kryminałów” i spuścić mu potężne lanie, tak jak za „prekolumbijskich” czasów, kiedy grali na podwórku w szmiciankę. Maniek stał w bramce i otwarcie pozwolił sobie wbić gola, ponieważ Ospowaty z przeciwnej drużyny obiecał mu za to bilet do kina.

\*

Zaczynał się już krajobraz obfitujący w gęste, wysokie lasy i prześwietlające przez nie, iskrzące się od słońca jeziora.

„Maluch” Oleckiego skręcił w boczną szosę. Kapitana zdziwiła od razu jej nawierzchnia. Samochód toczył się po pięknym, równym asfalcie. Jeszcze trzy lata temu była tu szutrowa, pełna dziur droga bez żadnego pobocza. Teraz miał wrażenie, że jedzie autostradą. Zastanawiał się, co mogło wpłynąć na stan tej drogi i nic nie przychodziło mu do głowy oprócz wyjaśnień typu „Bank 400” czy „Mistrz gospodarności”. Uznał to znowu za objaw końcowego wyczerpania szarych komórek, albo postępującego już w gwałtownym tempie urlopowego rozluźnienia. Jedno i drugie nastrojało wyłącznie do odpoczynku. Obejrzał się na tylne siedzenie, gdzie w pokrowcu drzemały wędki, w celofanie czaił się znakomity japoński kołowrotek.

Nagle otworzyły się klapki... Po prawej stronie zobaczył pasącego się na łące konia. No jasne, przecież dziesięć kilometrów stąd, trochę na wschód od Pasieki, jest Zagorza, a tam stadnina. Kupa dolarów leży zaledwie o dziesięć kilometrów stąd. Konie jak dzieła sztuki. Każde kopyto wybija — niby na licytacji — kilkadziesiąt tysięcy „zielonych”. Była tu przedtem stadnina, ale rozwijała się dopiero. Zdaje się, że się rozwinęła i że jest to rozwój potężny. Przypominał sobie, że gdzieś o tym czytał. Teraz ta „autostrada” nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Musi tu być

obecnie niewąski ruch. Pasieka wprawdzie pięć kilometrów od Zagorza, ale co to w tej sytuacji zmienia. Na jego list gospodyni odpisała: „Przyjeżdżaj, Jureczku, wasz pokoik na górze zawsze na was czeka”. Wasz, to znaczy jego i Kubisza. Przyjeżdżali tu często za studenckich czasów. Może Kubisz i teraz... Nie, niemożliwe. Gdzież on by się obył bez łaźienki, w.c., ciepłej wody!... Spotkanie na szosie o niczym nie świadczy; to jeden z głównych urlopowych szlaków.

Tak, Noguniowa zapraszała, ale nie było w liście słowa o jakichkolwiek zmianach. Kiedy wychodził z zakrętu, rzuciła mu się w oczy, utwierdzając go w podejrzeniach, tablica reklamująca pobliski motel.

— No to wesoło!...

Tablica oferowała usługi najwyższej jakości w trzech językach.

Nie można powiedzieć, aby wpłynęło to korzystnie na samopoczucie kapitana Oleckiego, aczkolwiek nie miał nic przeciwko rozwijaniu i doskonaleniu bazy turystycznej rodzinnego kraju. Wszędzie, tylko nie tutaj. To była zawsze „wakacyjna obiecana ziemia” Oleckiego. Wprawdzie nie odwiedzał jej ostatnio często — męczył się po Bułgariach, Rumuniach, Grecjach, w zależności od aspiracji aktualnej przyjaciółki — ale powracał do niej każdorazowo, kiedy czuł, że goni resztkami i musi rzeczywiście wypocząć.

Z przydrożnej zieleni coś zielonego wydobyło się nagle na skraj szosy. Kapitan przyhamował na widok stopującej wóz ręki.

Do „malucha” zbliżył się niski, przygarbiony w dodatku człowiek w wieku około sześćdziesięciu lat. Miał na sobie uniform wskazujący, że musi pracować w stadninie. Spod furazerki wymykały mu się gęste, czarne włosy z lekka tknięte siwizną. Zarost na szczęce mógł z powodzeniem konkurować z zarostem kapitana Oleckiego.

Zajrzał przez okienko do wozu, dwoje ciemnych i przenikliwych oczu obmacało jak gdyby twarz kierowcy. Potem nastąpił uśmiech i wtedy to jego pociągłe, ostro zarysowane oblicze pokryło się raptem siecią zmarszczek — jakby ktoś w uzbrojonej szybie uderzył kamieniem, ten sam pajęczy rozprysk.

— Jeśli pan łaskaw, to do Zagorza — powiedział nieznajomy.

Głos miał niski, przyjemny. Kapitan poczuł woń alkoholu, lecz nie był to odór „gołdy”, raczej koniaku, i to z tych lepszych.

— Jadę do Pasieki.



— Może być — zgodził się nieznajomy. —  
Stamtąd to ja już spacerkiem...

Fiaczk ruszył.

— Pracuje pan w stadninie? — zagadnął po chwili Olecki.

— Tak, w Zagorzu — odpowiedział tamten. —  
Stajennym jestem. Lubię tę robotę.

Kapitan przyjrzał mu się uważnie.

— Ja kocham konie, proszę pana — uzupełnił  
nieznajomy.

— Więc to tak z zamilowania?

— Najzupełniej. Przed wojną byłem dżokejem,  
startowało się jeszcze trochę po wojnie... Pan  
pozwole, Bodaryk jestem, Wincenty.

— Bardzo mi miło — powiedział Olecki, na-  
stępnie wymamrotał jakieś trzy sylaby, które  
miały zastąpić jego nazwisko.

Jechali przez pewien czas w milczeniu.

— A pan co, urlopik? — zapytał Bodaryk.

— Coś takiego.

— Tu można odpocząć. Kupa narodu w te  
strony ściąga, sporo zagraniczników. Nie tylko  
aukcje. „Wczasy w siodle” tutaj mamy, pierwszo-  
rzędna rzecz.

Bodaryk zaśmiał się nagle i Olecki przez chwilę  
słuchał z przyjemnością tego śmiechu nie próbuj-  
jąc nawet dociec, co było jego powodem.

— A jak ryba? — zainteresował się.

— Kto nie nosi kija na pokaz, ten zawsze coś  
złowi! — zachichotał tym razem Bodaryk i twarz  
mu zadrgała rozpryskiem zmarszczek. — Pan  
nigdy jeszcze przedtem?...

— Właśnie — skłamał kapitan i nie miał czasu  
pomyśleć, dlaczego to zrobił, bo dostrzegł przed  
sobą żółtą ładę, która stała na poboczu, a  
okrągłutki facet w rajdowej czapeczce uwijał się  
przy niej, zmieniając koło.

Pierwsze, co przemknęło Oleckiemu przez głowę,  
to przysłowie: „Pan Bóg nierychliwy, ale  
sprawiedliwy”. Zaraz jednak miejsce tej refleksji  
zajęła inna: przesmutne to, że jadą z Kubiszem w  
to samo miejsce i że prawdopodobnie na list  
cenionego dostawcy fikcyjnych sensacji Nogunio-  
wa odpisała w znanym już kapitałowi stylu —  
„Przyjeżdżaj, Marianku, wasz pokoiak na górce  
zawsze na was czeka”.

Tylko że Jureczek już nie ma zamiaru dzielić  
pokoiku z Mariankiem i na odwrót!

Niech to jasna...

Ale dojeżdżając do żółtej łady kapitan Jerzy  
Olecki był już w tak pogodnym nastroju, że nie  
odmówił sobie przyjemności wygraną powitalnej

picśni na klaksonie, za co mozolący się i sapiący  
przy zmianie koła przyjaciel skłął go w duchu nad  
wyraz serdecznie i rzetelnie. Zapomniał pewnie  
podziękować niebiosom, że w ogóle żyje. Olecki  
dałby się pokrajać, że tutaj — na tej pustej i  
wspaniałej szosie — Kubisz z przekory przycisnął  
do stu czterdziestu, a cud tylko sprawił, że złapał  
gumę z tyłu, nie z przodu i zdołał jakoś — też  
cudem — nie wypełnić kupą żelastwa przydroż-  
nego rowu.

Kapitan zatrzymał swojego „malucha”, wy-  
siadł.

— Może pomóc, drogi kolego? — pochylił się z  
udaną troską nad przyjacielem.

— Idź w diabły! — warknął Kubisz.

Wyciągnął z przebitej opony trzy trzycalo-  
wo gwoździe. Może nie byłoby w tym nic dziwnego,  
gdyby nie to, że gwoździe zostały ze sobą zespa-  
wane, ostrymi zakończeniami odgięte ku górze,  
całość miała kształt trójzębu i wyglądała na  
amatorskie rękodzieło.

— Gdybym dorwał tego skurczybyka, co takie  
„pajęczki” rozrzuca po szosie!... — pieniał się  
pisarz.

Olecki nie widział w tym momencie twarzy  
Bodaryka. A szkoda. Dla kogoś nic, dla wpraw-  
nego oka wszystko. Na ułamek sekundy kąciaki  
ust Bodaryka wygięły się w ledwo zauważalnym  
grymasie.

Ani Kubisz, ani stajenny nie zauważyli, kiedy  
wyjęty z opony kołec zniknął im z oczu.

— Słuchaj, Maniek, czy my przypadkiem nie  
jedziemy w to samo miejsce? — zaczął w miarę  
ogólnie kapitan.

— My?

Pisarz zmierzył kapitała od stóp do głów, co  
było pewnym wyczynem, gdyż przyjaciel przera-  
stał go prawie o głowę.

— My? — powtórzył i dodał stanowczo —  
Jeżeli chodzi o mnie, to jadę na pewno do Pasicki.

Olecki wznosił oczy w górę, westchnął:

— O Boże, za jakie grzechy...

— Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że ty  
również... — zaczął Kubisz.

Wolał nie kończyć rozpoczętego zdania, jego  
pełna treść wydała mu się zbyt przerażająca.

Podobnie jak kapitanowi Oleckiemu.

\*

To jeszcze nic. Nie wiedzieli, co ich czeka.  
Na razie posuwali się zosą zgodnie, z umiarko-



waną szybkością, wypatrując pod kołami następnymi „pajęczków”. Olecki wysadził Bodaryka przed Pasieką, skąd tamten już na przelaj podążył do stadniny w Zagorzu. Odprowadzał stajennego przez chwilę wzrokiem, śledził jego niską, przygarbioną sylwetkę, która wtapiała się powoli w rozdygotany w natarciwym słońcu i buchający zielenią las.

Dojechali do Pasieki.

Porachunki z Noguniową zostawili na później, gdyż zatkało ich, zamknęło im twarze, kiedy tylko zatrzymali się przed dawną leśniczówką od dawna znajomej gospodyni. Leśniczówka wprawdzie stała całutka i ze snów o młodości, ale o jakieś pięćdziesiąt metrów w bok piętrzyło się coś, na widok czego kapitan Olecki zamarzył o samotnym namiocie szarpanym burzą i tratowanym uiewą.

Stało to dwupiętrowe, o tzw. obszernej kubaturze. Elewacja z wetkniętych w beton szkiełek, kamiaków. Jej wyższe rejony pokryte zostały kompozycją ze wszech miar abstrakcyjną, a ich przedsiębiorczy autor gustował wyraźnie w zestawieniach zieleni z błękitem.

Olekiemu legion mrówek zaczął urządzać defiladę na plecach.

Na podjeździe można było wybierać w wozach. Od mercedesa, alfa romeo, poprzez forda grana-da, peugeota, kończąc na mirafiori, 132p — 2000 do starej, poczciwej warszawy 203.

Olecki dał gestem przyjacielowi do zrozumienia, że wprawdzie jego łada nie będzie tu królową, ale w żadnym wypadku nie powinna przynieść mu wstydu.

Kubisza nie było prawie widać zza kierownicy, wyczulone ucho natomiast mogło uchwycić metodyczny, zapamiętały zgrzyt zębów, zresztą trzonowych, gdyż koronki górnych przednich stanowiły pewnego rodzaju ryzyko.

Kapitan z wojowniczą miną wcisnął swojego „malucha” między jakieś dwa okazy motoryzacyjnego przemysłu. Pogwizdując wysiadł z samochodu.

Kubisz stał swoją ładą przy wjeździe.

Podszedł do niego.

— No, co jest, Maniek?

Pisarz miał niewyraźną minę.

— Słyszę.

— Rozumiem, chodzi o twoje dzieło — kapitan starał się nadać głosowi ton jak najbardziej poważny.

— Odwal się, dobra? — usłyszał w odpowiedzi

i wiedział już, że Kubisz w sposób zastraszająco gwałtowny zaczyna tracić poczucie humoru.

Nagle rozległo się za ich plecami:

— Jureczek!... Marianek!... Boże ty mój!...

Żadna matka nie witała tak marnotrawnych synów, jak teraz Noguniowa tych dwóch.

Kubisz wygramolił się z łady.

\*

Po takim powitaniu nie sposób było zawrócić i szukać urlopowego szczęścia w innych stronach. W końcu starą leśniczówkę pozostawiła Noguniowa do ich wyłącznej dyspozycji. Czasy się zmieniają, mówiła, na korzyść człowieka pracy. Stadnina w Zagorzu dała jej szansę, pracuje ciężko, ale przynajmniej wie, po co i z jakim skutkiem, chociaż pożyczka, którą zaciągnęła, spędza jej sen z oczu.

Patrzyli na zniszczone ręce tej blisko sześćdziesięcioletniej byłej chłopki i szacowali na oko, o ile gramów jubilerskiego złota mogą być cięższe od tych, które ścisłali ostatnim razem.

Przyrzekli zostać parę dni pod warunkiem, że Noguniowa nikomu słowem nie piśnie — chodziło o tych z „pensjonatu”, ludzie w okolicy nie mogli ich przecież zapomnieć — kim są i skąd przyjechali. Właściwie „ukrywać się” musiał tylko Kubisz, o pracy Oleckiego w milicji gospodyni nie wiedziała, był dla niej zawsze „mecenase”, u którego zasięgała drobnych prawniczych porad.

Zostali. Na parę dni.

Wnieśli swoje bagaże do leśniczówki, której bielone wapnem ściany zapachniały im jak za dawnych lat. Jednym słowem — skansen. To nie, że obok stała ta karkołonna budowla i rozlaczai się międzynarodowy salon samochodowy (kilka aut miało rejestrację zagraniczną), nie, że kilka kilometrów stąd pracuje potężna machina eksportowa o sile kilkuset tysięcy koni dolarowych.

Mieli nadzieję, że jezioro się nie zmieniło, zostało w swoich brzegach. Przypuszczali, że las nie ruszył się krokiem ze swojego micjsca.

Śniadania postanowili organizować na własną rękę. Obiady i kolacje mieli jeść w „pensjonacie” za umiarkowanie ulgową cenę — dwie stowy od łebka.

Zostali, nie wiedząc właściwie, dlaczego.

Prawdę mówiąc kapitan czuł podskórnie, co go skłoniło do pozostania i starał się sobie ten powód czym prędzej wybić z głowy. Kofec, rękodzieło służące do przebijania opon samocho-



dowych... Czy jest to przypadek? Czy nie znajdzie się tych „języków” więcej? Trzeba by w nocy pojechać w tamto miejsce, poszperać z latarką. Komu tu zależy na przebijaniu opon luksusowych wozów, które na tym odcinku szosy nie żałują sobie maksymalnej szybkości? Po co zresztą maksymalna szybkość, wystarczy sto dwadzieścia... Tak przebita opona siada natychmiast, a jeśli jeszcze łapie się ją z przodu... Kubisz miał cholerne szczęście. Ktoś tu komuś szykował, albo jeszcze ciągle szykuje, efektowną automobilową śmierć. A może jednak przypadek, kawał dzieciarni, może to wcale nie jest...

W swoim pokoju Olecki obejrzał jeszcze raz zabrane z szosy kołec. Fajny „język”. Nie, to jest zmyślna robótka. Przypadek, kawał dzieciarni — wystarczyłyby kawałek drutu kolczastego. Ale ten przebije najwyżej oponę „malucha”, syrenki, z trudem złapie na nim gumę duży fiat. Ta robótka jest wyraźnie obliczona na ogumienie najwyższej klasy i to tak, żeby wóz od razu zakręcił się w śmiertelnym pirucecie.

Przy tego typu myślach Olecki rozpakowywał swoje rzeczy. Mimo postanowienia o zapuszczeniu na czas urlopu brody, nie wiedzieć jakim cudem znalazła się w jego walizce golarka i podręczne lusterko.

Musiał się w nim zobaczyć i jednocześnie skląć siebie w duchu.

„Kretyn!... Przyjechałeś odpocząć, frajerze!”

Nie spodobał mu się ton, jakim do siebie przemawiał, spróbował inaczej: „Kapitanie Olecki, waszym pierwszym i zasadniczym zadaniem w tym miesiącu jest odpocząć. Jutro o tych »językach« na szosie dacie znać, gdzie należy. Nie wasza parafia, nie wasz czas. Cześć, czolem.”

To mu także nie przypadło do gustu.

„Jerzyk, zostaw na razie w cholere te »języki«!...”

I jakby dla zadokumentowania tego otworzył butelkę koniaku, nalał do kubków z termosu i zagwizdał przeraźliwie przebijając niemal tym gwizdem ścianę, „Więc pijmy wino, szwoleżerowie, niech troski zginą...” itp.

Nie musiał długo czekać.

Po chwili w progu stanął Kubisz, trzymał w ręku butelczynę courvoisiera, też już otwartą.

Nie wypili dużo, tyle, żeby się trochę odprężyć po tych trzystu i kilku kilometrach drogi.

Nawet nie wiedzieli, że dobrze robią.

Nie zdążyli już na obiad, czekała ich w „pensjonacie” kolacja.

Kubisz po dwóch kieliszkach zaskoczył pomysłem, żeby się do kolacji przebrać w strój wieczorowy. Olecki postukał się wymownie w czoło, ale znając przyjaciela był święcie przekonany, że przywiózł on ze sobą smoking plus komplet czarnych muszek i białych koszul.

I nie omylił się.

— Mam ochotę trochę poszaleć — oznajmił pisarz i z głębi obszernych kieszeni szortów wydobyl pokaźne cygareto, którym następnie zakneblował sobie usta. — Widzisz, odozuwam potężną potrzebę, żeby się trochę powyglupiać, pozgrywać!... Człowiek przez okrągły rok stuka te powieści, ciągle gonią go terminy...

— Człowiek nie musi po prostu tyle zarabiać — wtrącił Olecki zauważając jednocześnie z niepokojem, że przyjaciel o tych „szaleństwach” mówi zupełnie serio. Przypomniał sobie, że Kubisz przed dostaniem się na studia prawnicze próbował swoich sił w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i na szczęście dla polskiej sceny odpadł już w egzaminacyjnych przedbiegach.

— Wyobrażam to sobie mniej więcej tak...

Pisarz przedstawił kapitanowi scenariusz: enigmatyczny i potężny biznesmen (Kubisz w smokingu) pojawia się w towarzystwie tłumacza (Olecki ubrany w miarę przyzwoicie) na kolacji w pensjonacie madame Noguniowej. Jak się tutaj zjawiał, skąd? Może po prostu spadł z nieba, granice PRL osiągnął na pokładzie własnego odrzutowca, w to ustronie podrzucił go helikopter. Wszystko jest proste i gwarantuje znakomitą zabawę. Nikt ich nie widział, kiedy przyjeżdżali, nikt nic o nich nie wie. Popatrzą tylko sobie, jakie wrażenie na tych bubkach od „salonu samochodowego” zrobi ich mistyfikacja — naturalnie, trzeba wciągnąć do tej imprezy Noguniową — w sposób milionersko wstrzemięźliwy wydadzą w barku kilka biletów Narodowego Banku Polskiego przetkanych — efekt przy płaceniu rachunku — jakąś garścią zielonych. Oczywiście, rachunek będzie regulował „tłumacz” i to wyłącznie złotówkami, a dziesięć „waszyngtonów” wróci z powrotem do kieszeni Kubisza, kiedy tylko znajdą się w leśniczówce.

Kapitanowi pomysł zaczynał się nawet podobać, zwłaszcza, że nie planowali tutaj dłuższego pobytu. Przez chwilę widział minę swojego szefa, kiedy ten dowiaduje się jakimś cudem o tej



impresie, w której drugoplanową wprawdzie, niemniej znaczącą rolę odegrał jego podwładny. To wyobrażenie sprawiło mu przyjemność znacznie większą niż mógł przypuszczać.

— Mój angielski jest bardzo dobry — stwierdził autorytatywnie Kubisz.

Olecki chrząknął znacząco, ale przyjaciel postarał się tego nie zauważyć.

— Zażyczę sobie, ażebyś mnie nauczył kilku polskich słów — ciągnął pisarz. — Spytam cię na przykład, jak jest po polsku, powiedzmy, „kielisek”...

— Stary, z tym swoim angielskim to ty najlepiej wychodzisz, kiedy ograniczasz się tylko do „thank you”! — nie wytrzymał kapitan.

— Bez przesady, mój drogi, bez przesady.

Było to powiedziane tak protekcyjnym tonem, iż nie ulegało już wątpliwości, że Kubisz w sposób denerwujący zaczął się utożsamiać z postacią zjawiającego się wprost z nieba milionera i przynajmniej na razie nie było takiej siły, która mogłaby mu ten pomysł wybić z głowy. Olecki zauważył przy tym, że przyjaciel robi właściwy użytek z cygara — szorty, koszulę plus kawalek podłogi zasypał obficie popiołem.

Podsumował cały scenariusz:

— Zdaje się, że jutro będziemy najpopularniejszą parą w tym schronisku... dla ubogich.

W dwie godziny później, ostentacyjnie spóźnieni, weszli do obszernej, oświetlonej miękkim światłem zachodzącego słońca, jadalni „pensjonatu”.

Powitała ich Noguniowa, której przynajmniej kilka gramów złota przybyło pod wieczór na palcach.

— Ach, mister Kubitch!

Okrzyk ten był wyreżyserowany przez właściciela polskiego brzmienia tego nazwiska.

Olecki podziwiał pisarza, musiał nawet zweryfikować swoją opinię co do możliwości aktorskich przyjaciela. Służył mu smoking, pewność siebie, opanowanie każdego gestu, monosylabiczne zdania, które w języku Szekspira rzucał od niechcenia „milioner”.

Noguniowa, cała w uśmiechach, zaserwowała im najlepszy stolik (dziwnym trafem wolny) z widokiem na pobliski las i przeblyskujące przez drzewa jezioro. Siedzieli na przeszklonej werandzie, skąd mieli jednocześnie spokojny wgląd na salę i zajmujących pozostałe stoliki gości.

Jak dotąd, jedno było pewne — na nikim ich wejście nie zrobiło specjalnego wrażenia.

— Proszę, proszę — kłaniała się Noguniowa

podając tekst w dostępnej prawie wszystkim angielskiej wersji.

Kartę dań podsunął Kubisz kapitanowi, który zaczynał już żałować, że się na ten cały wyglup zgodził. Niemniej — umowa jest umową — studiował gorliwie pozycje zawarte w menu i wymrukiwał je w stronę zajętego swoją kreacją pisarza. Oferowane tutaj kolacyjne dania mogły przyprowadzić o palpację serca niejednego z kierowników renomowanych zakładów gastronomicznych.

Kapitan proponował jakieś danie, Kubisz krzywił się, kwitował propozycję odmownym ruchem ręki.

— No to co będziesz, do cholery, żar! — w języku ojczystym syczącym szeptem zapytał w końcu Olecki.

Poprzez dym cygara zobaczył twarz przyjaciela, która układała się już w kolejny grymas, kiedy w tej samej chwili szyba za plecami Kubisza rozprysła się i świst kuli przeszył nad ich głowami powietrze.

— O k... — wykrzyknął milioner z najczystszym polskim akcentem.

Pensjonariusze zerwali się w panice z miejsc.

W ułamku sekundy tylko na twarzy jednego z nich Olecki nie zauważył strachu, ale jakby zdziwienie i coś w rodzaju niesmaku, że przerwało mu kolację.

Ludzie przewracając stoliki zaczęli tłoczyć się w drzwiach, kłęb przerażonych, różnojęzycznych głosów wypełnił jadalnię. Kapitan rzucił się do wyłącznika, światło zgasło jednocześnie z drugim strzałem.

Olecki już był na zewnątrz, pobiegł w kierunku, skąd mógł paść strzał. Po kilku krokach zatrzymał się, zaczął nasłuchiwać. Żadnego warkotu motocykla czy samochodu. Gęstniejący mrok, cisza. A zatem strzelający uciekając spod pensjonatu musiał zawierzyć własnym nogom, musiał też doskonale znać tutejszy teren. Ale zaraz...

Cofnąć się o dwie minuty. Kiedy wybiegł z pensjonatu, słyszał tylko swój przyspieszony oddech i odgłos swoich kroków. Czy coś jeszcze? Tak, teraz sobie przypomina, chociaż nie jest tego pewien. Coś jakby tętent oddalających się konskich kopyt. Czy aby na pewno? Z równym powodzeniem mogło mu tak w skroniach tętnić; zważywszy, że ten wieczór i jego wydarzenia nie należały do najprzyjemniejszych, miał święte prawo, żeby się „lekko zdenerwować”. Ale chyba...



Sam sobie stał się teraz jak gdyby magnetofonem i taśmą, którą jeszcze raz cofnął do tyłu.

Znowu „przesłuchał” sam siebie...

„Nie, nie, to jednak był tętent końskich kopyt. Oddalający się, zacierany moim przyspieszonym oddechem, moim zdenerwowaniem, które wbrew pozorom jest także niekiedy udziałem oficerów dochodzeniowych. A poza tym, zdaje się, stareńki, że to jest twój pierwszy i ostatni dzień urlopu. I uświadom sobie jeszcze jedno; jesteś tutaj jednak na urlopie i jako fachowiec nie masz teraz żadnych kompetencji, a w Filipa Marlowe'a nie wolno ci się na własną rękę bawić. Niemniej, jak to mówią, żarty się skończyły...”

Wrócił do pensjonatu. Słuchanym w tzw. salonie telewizyjnym gościom, pozostającym jeszcze ciągle pod wrażeniem ostatnich minut, przedstawił się jako prawnik. Następnie oznajmił, że według obowiązujących w takich wypadkach przepisów nikomu z pensjonariuszy nie wolno opuścić tego miejsca, aż do chwili wyjaśnienia zaistniałego incydentu.

Potem powtórzył to po angielsku, a Kubisz przedstawił słowa kapitana w wersji niemieckiej.

Zrobiło się trochę szumu, też w różnych językach.

\*

Tak, żarty się skończyły... A jednak, kiedy znaleźli się w leśniczówce, Olecki nie wytrzymał i zaczął podkpiwać sobie z przyjaciela.

— Nie ma co, Maniek, strzelano wyraźnie do ciebie. Oczywiście nie wiadomo jeszcze, co wykaże analiza balistyczna pocisków, ale ja jestem pewien, że musiał to być jakiś zapamiętały czytelnik twoich ostatnich powieści.

— Odwal się, dobra?

Kubisz był przejęty i zdenerwowany.

To zupełnie co innego — uderzeniami palców w klawisze maszyny do pisania fundować czytelnikowi trupa za trupem, a inna sprawa — znaleźć się samemu o krok od rzeczywistej śmierci, zawdzięczać życie tylko przypadkowi, gdyż temu komuś musiała drgnąć ręka, zawieść oko.

— Nie strzelano do mnie — zaczął pisarz. — Strzelano do faceta, który tam zawsze siedział i był podobnie jak ja ubrany.

— Wspaniale, sam bym na to nie wpadł!

— Dosyć, Jerzy! Pomówmy wreszcie poważnie.

Olecki przyznał mu w duchu rację. Zwłaszcza

że z równym powodzeniem on także mógłby być celem. Ta ostatnia sprawa. „Raskolnikow” może mieć kumpli. Kapitan z okazji tej sprawy stykał się z ludźmi, którzy są zdecydowani na wszystko. Ludzie na granicy człowieczeństwa, narkomani. Ludzie? Szczeniaki, gówniarze. Ale takich stać na desperację wynikającą z więzi wspólnego, nieświadomianego nieszczęścia. Tak, to mógłby być również on.

Wpadła do nich roztrzęsiona Noguniowa.

— Zawiadomiła pani milicję? — zapytał z miejsca Kubisz.

„Milicja to byłby ostatni gość, którego Noguniowa mogłaby sobie w swoim »pensjonacie« życzyć” — przemknęło przez myśl kapitanowi.

— Jezus Maria, po co? — złapała się za głowę kobieta i następnie wymieniając „Jezus Maria” na „Marianka”, zaczęła trajkotać:

— Marianku, po co? Po co, Marianku?... Przecież to jakiś wariat strzelał. Albo jakiś, co dla kawału chciał nastraszyć. Teraz sezon, kręci ich się obdartusów różnych tyle, że nie sposób spać spokojnie. A te ich dziewczuszyska!... Trzy dni temu przyszło do mnie takie tałatajstwo. Chcieli śniadania. Przepędziłam, to od ostatnich mnie nawywyzali! Co to, czy ja prowadzę przytułek, czy ja... —

— Chwileczkę, pani Geniu — przerwał jej Kubisz. — Niech mi pani powie, kto zazwyczaj siedział przy stoliku, który ja dzisiaj/zajmowałem?

— Pan Dobruszek, bardzo porządny człowiek. O, to pan jeszcze starej daty!... Takich już teraz mało.

— Pan Dobruszek?

— Konstanty.

— I co, też był zazwyczaj ubrany tak, jak ja dzisiaj, wieczorowo?

— A jakże, a jakże! On by inaczej nie mógł. A jak mówił, jakie słówka, zwroty...

— Przyjeżdżał sam?

— Nie, nie sam. Z siostrzeńcem. Zajmowali zawsze ten sam pokój, trzymałam go dla nich — na twarzy Noguniowej pojawiło się nagle coś błędnego, niewinnego. — Ten siostrzeńiec, to mówię wam, jak aniołek...

— W jakim wieku ten siostrzeńiec? — wtrącił się milczący dotąd Olecki.

— Ja wiem... Jakies dwadzieścia, dwadzieścia dwa lata chyba.

Przyjaciele wymienili między sobą znaczące spojrzenia.

— I zawsze zajmowali ten sam pokój i pewnie ten sam stolik? — natarł Kubisz.



Noguniowa raptem zreflektowała się.

— No co pan, panie Marianku? Ostatni raz to ja odpowiadałam na komisariacie przed wojną. Co pan jak jakiś policmajster?...

— Przepraszam, pani Geniu, tak jakoś wyszło... — Kubisz pocałował jej upierścienioną dłoń. Potem znów zwyciężył w nim oficer docho-dzeniowy. — Ale jak pani myśli, skąd ten pani pomyleniec — zakładając, że to któryś z tych włóczęgów — mógł strzelać, skoro jadalnia znajduje się na półpiętrze, a wokół lasy?

— Jak to skąd? — nie zrozumiała w pierwszej chwili, o co Kubiszowi chodzi.

Zaczął tłumaczyć nie dostrzegając na poły kpiącego uśmiechu, którego nie mógł sobie darować Olecki.

— No właśnie, skąd! — brnął dalej Kubisz. — Pani Geniu, tylko pociski artyleryjskie zakreślają łuk, z ręcznej broni palnej strzela się na wprost!

— Jezus Maria! — zdumiała się Noguniowa i po chwili namysłu wypaliła: — Pan Marianek pyta skąd? A wlaź pewnie cholernik na dach któregoś z samochodów, co stoją na parkingu i już miał całą jadalnię jak na dłoni.

Kubisza zatkało.

— Nie był to na pewno polski fiat — dorzucił Olecki powstrzymując się od śmiechu na widok miny, jaką zrobił Kubisz po oświadczeniu Noguniowej.

— Niech pani zawiadomi jednak milicję — nakazał surowo pisarz, usiłując jakoś ratować swój autorytet w sprawach kryminalistyki. — I nie radzę odkładać tego do jutra! — dodał o ton strożej.

Noguniowa zabierała się już do wyjścia, kiedy Olecki zapytał:

— Pani Geniu, jakim samochodem jeździ mecenas Dobruszek? Zna się pani na markach wozów?

— No, takim, za przeproszeniem, „odkurzaczem” jak pan Jurek, to on nie jeździł! — zaśmiała się w zasadzie żartobliwie. — To będzie prędzej taki samochód, jak ma pan Marianek, nawet chyba kolor ten sam.

Po wyjściu Noguniowej szybko napełnili niewielki pokój dymem z palonych zachłannie papierosów, nie pomagając nawet otwarte na oścież okno.

— Mecenas Dobruszek... — powiedział jakby do siebie kapitan.

— I jego aniołek — dorzucił Kubisz.

Znowu się zakłębiło od kolejnych porcji dymu

— Jak myślisz, „zcmsta pedałów”? — zapytał ostrożnie pisarz.

— Bzdura!... Moga się bić jak kobiety, drapać, gryźć, czy ja wiem co jeszcze. Ale zazwyczaj polega to na podkładaniu sobie wzajemnie świni. Wykańczają się zawsze w ramach własnego środowiska. W takich wypadkach osobnik przez innych osamotniony skazany jest jakby na biologiczną śmierć.

— Piś im buzie liza! — zażyczył sobie Kubisz.

I nagle zorientował się, że stoi w oknie. Pokój był rozświetlony, czerni smokingu, którego nie zdążył zdjąć, wspaniale ułatwiała celowanie.

Odskokzył gwałtownie w bok, skrył się za ścianą.

— Zapewniam pana, panie mecenasie — zaśmiał się Olecki — że ten facet już dzisiaj nie wróci.

— Nic wygłupiaj się! — warknął pisarz. — A w ogóle najwyższy czas, żebyś zaczął...

— Co zaczął? — przełwał mu ostro kapitan. — Co ja mogę zacząć? Jestem na urlopie, drogi przyjacielu, nie mam żadnych uprawnień, w nic nie mogę na razie ingerować. Mogę najwyżej zameldować o oczywistych, zakrawających na świadome przestępstwo faktach.

— No właśnie!

— Kochany, sugestia Noguniowej, wiemy naturalnie o co jej chodzi, jest równie prawdopodobna jak podejrzenie, że mamy tu jednak do czynienia z planowaną zbrodnią. Co na przykład powiesz o takim „języku”?

Kapitan wyjął ze skrytki kolec, który przebił oponę lady Kubisza.

— Czekaj, czekaj... — pisarz zmarszczył czoło, co było w tym przypadku równoznaczne z uruchomieniem potężnych kół wyobraźni. — A gdyby tak... Otóż nie mamy chyba złudzeń co do stosunków, jakie łączą mecenasa Dobruszka z jego „siostrzeńcem”...

— A jeśli to zupełnie normalna sprawa?

— Możliwe. Załóżmy jednak, że jest tak, jak sugerowałeś.

— Kto sugerował, ja? Kiedy? — zdziwił się nieszczerze kapitan.

— Nie muszę ci chyba przypominać — tonał dalej Kubisz — że w tych kręgach zazdrość jest naprawdę zazdrością. Po prostu partnerów jest mało. A gdyby tak ten nasz „siostrzeniec” został zdradzony? Tak jest, zdradzony. Mecenas Dobruszek znalazł sobie inny obiekt swoich zainteresowań. „Siostrzeniec” chciał najpierw



działać metodą pośrednią, to znaczy wiedział, że „wuj” z jakimś nowym siostrzeńcem będzie przejeżdżał tą drogą prowadzącą do pensjonatu. Zakładamy, że jest to chłopczyzna sprytny i bezwzględny. A więc produkuję metodą chałupniczą kilka takich „języków” i w odpowiedniej chwili podrzuca ja na drodze: Łada Dobruszka jest w tym samym kolorze, co moja... — pisarz wykonał wymowny gest. — Jak dotąd wszystko się zgadza, obywatelu kapitanie.

Olecki tylko westchnął.

— Na „języka” nadział się nie Dobruszek, ale ja — ciągnął dalej Kubisz. — Chłopczyzna siedział pewnie wtedy ukryty w krzakach i myślny go nie zauważyli. Szczęście, że zwoleńcem na tym odcinku, no i że umie się jako tako prowadzić! — nie omieszkał się pochwalić przy okazji. — „Siostrzeniec” wiedział natomiast, że mecenas jeździ szybko, na efekt, ale rajdowiec to on nie jest. Na to liczył. Przeliczył się skubany, bo to ja złapałem gumę, a Dobruszek spóźnił się z przyjazdem. Nasz chłopczyzna nie dał za wygraną. Wiedział, że mecenas prędzej czy później zjawi się jednak w pensjonacie. Postanowił przystąpić do działań, że tak powiem, bezpośrednich. Skoro przyjeżdżał tutaj często z „wujciem”, mogli także w tych okolicach polować. Polowanie, takie męskie zajęcia! — zachichotał pisarz. — A zatem nasz pięknotka mógł otrzymać od mecenasa w prezencie szlucer. Co dalej? Otóż krąży po okolicy, zżera go zazdrość i chęć zemsty. Poza tym urwały mu się dochody, a żyć z czegoś trzeba. Widzi przez okno nasze sylwetki, niestety, moja przypomina mu z daleka Dobruszka, ty prezentujesz się jako następny „siostrzeniec”. Nasza kochana Noguniowa sadza nas przy stoliku, który zajmował zazwyczaj mecenas. Mecenas wbrew zapowiedziom nie zjawił się w pensjonacie... Wszystko jasne!

Kubisz skończył i był z siebie wyraźnie zadowolony.

Kapitana natomiast opuściła cierpliwość i zaproponował przyjacielowi w miarę łagodnie:

— Odwróć się o sto osiemdziesiąt stopni.

— Po cholere?

— Będziesz miał bardzo prostą drogę do wyjścia z tego pokoju. I zrób to szybko, Maniek, bo nie ręczę za siebie! Każda bzdura jest dopuszczalna do pewnego momentu, potem zaczyna już denerwować, zwłaszcza o godzinie jedenastej wieczorem. A więc „dobranoc, mój księżu”!

— Pamiętaj jednak, że ja zawsze miałem no-

sa — Kubisz zatrzymał się jeszcze w progu. — Mogłeś się o tym niejednokrotnie przekonać!

— Spływaj! — usłyszał w odpowiedzi.

Kapitan myślał, że zaśnie od razu, ale nic z tego. Bywa tak niekiedy, że największe nawet zmęczenie zamiast przyciągać, odgania z powiek sen. Olecki przeszło godzinę przewracał się z boku na bok, wreszcie dał za wygraną. Zapalił papierosa i natychmiast zgasił go ze wstrętem, miał gardło pełne żużlu. Postanowił przejść się trochę po powietrzu.

Skierował swoje kroki w stronę pensjonatu. Dochodząc do parkingu zatrzymał się. Ktoś był na parkingu, chociaż z miejsca, w którym się znajdował Olecki, nie można było dostrzec nawet zarysu sylwetek. Natomiast słyszał.

Pośród bezszelestnej nocy, ostry chociaż zgaszony półszepcemy głos wymyślał komuś od pijaków, durniów i ostatnich sukkinsynów.

Kapitan zaczął nagrywać ten głos na swój „wewnętrzny magnetofon”. Zarejestrował także szczątki bełkotliwej odpowiedzi tego drugiego. Fragment, szczątki, gdyż urwało się nagle wszystko, kiedy ktoś z pensjonariuszy wyszedł na taras i błysk zapalniczki, a potem ogień papierosa przepłóżyły tamtych na parkingu.

Olecki nie był pewien, ale miał wrażenie, że ten drugi, bełkotliwy teraz głos już gdzieś słyszał.

Czy nie należał on do poznanego dzisiaj rano Bodaryka?...

Płomienie zaczęły swą arię o godzinie trzeciej nad ranem.

To było mocne, donośne.

Ten śpiew płomieni doszedł już po chwili do pensjonatu i zadźwięczał oknami leśniczówki.

Rzenie przerażonych koni tratowało ciemność. Biegły na oslep poprzez las, pędzone lękiem, rozplamione w szaleńczym galopie podobnie jak stajnia, która objęta ogniem galopowała już ku niebu z niewidocznym jeźdźcem na grzbiecie.

Jeden z budynków stadniny palił się. Łuna pożaru zabarwiała na kilka kilometrów nocne niebo. Okoliczna straż pożarna przyjechała gasić już resztki. Ze stajni pozostały gołe mury, szczątki belkowań stropu. Całe szczęście, że ta stajnia stała w pewnym oddaleniu od reszty i że była bezwietrzna, duszna pogoda. Odrobina wiatru przeniosłaby iskrę na inne zabudowania i wtedy dopiero byłby to fajerwerk na całe województwo, nawet trochę dalej.



Tej nocy również wydarzył się na bocznej szosie, prowadzącej do pensjonatu, tragiczny wypadek.

Samochód marki Renault, rejestracja francuska, roztrzaskał się o przydrożne drzewa, kierowca poniósł śmierć na miejscu.

\*

Kiedy o wczesnym świcie kapitan Olecki zrekapitulował wypadki ostatnich godzin, poczuł, że czuje się właściwie dobrze i że urlopowa beczynność byłaby jedynie marnowaniem czasu.

\*

Porucznik Dobryń z komendy wojewódzkiej nie był zbyt zachwycony poleceniem swojego szefa. Znowu!... Jak nie kradzież w magazynie GS-u, to pożar. I tak w kółko. Aha, jeszcze po drodze jakiś wypadek samochodowy i zagraniczny trup. Nie ma co, szerokie pole do popisu!...

Jeszcze w szkole, w Szczytnie, porucznika ochrzczono mianem „Dziecina”. Miał delikatną twarz i był raczej drobnej budowy, a przy tym te jego nieszczęsne długie rzęsy. No to „Dziecina” gdzie mógł i jak mógł udawał, że można się na to jego przezwisko potężnie nabrać. Doszedł do tego, że nie miał na roku sobie równych, jeśli chodziło o zakres ćwiczeń z samoobrony i walki wręcz. Reszta wyników szkolenia płasowała Dobrynia gdzieś powyżej średniej, ale nie za wysoko.

Miał na roku faceta, którego się nie tyle obawiał, co czuł przed nim respekt. Człowiek nazywał się Jerzy Olecki, był absolwentem prawa Uniwersytetu Warszawskiego i w związku z tym, każdy zastanawiał się — po cholere taki gość, zamiast robić od razu pieniądze, przychodzi uczyć się zawodu, który polega między innymi na szukaniu guza.

Nie można powiedzieć, żeby Janek Dobryń za nim przepadał. Czuł jednakże podświadomie, że znajduje się niejako pod jego wpływem i bardziej zależy mu na cichym uznaniu tamtego, niż na ocenach wykładowców. Olecki w nauce był szalenie nierówny, ale dawał do zrozumienia, że nie odkrywa wszystkich swoich możliwości. Wyglądało to tak, iż „etatowi prymusi” nigdy nie byli pewni swoich pozycji. Podejrzewano Jerzego o grę, o coś w rodzaju gry, którą na terenie roku stworzył dla siebie tylko wiadomych satysfakcji. Wydawało się, że kiedy chce, jest pierwszy, kiedy

zaś mu się nie chce — odpuszcza. Prymusi musieli trwać w nieustannym pogotowiu. To właśnie „Dziecinę” najbardziej chyba przyciągało do magistra prawa.

Pod koniec szkoły, której Olecki zgodnie z obraną metodą nie ukończył jako prymus, byli już na bardzo bliskiej stopie koleżeńskej, chociaż trudno byłoby mówić w tym przypadku o przyjaźni.

Udziałem mądrych ludzi był fakt, że prymusi poszli wybijać się na prowincję, natomiast podporucznik Olecki dostał od razu przydział do Warszawy.

Nie korespondowali ze sobą, nie mieli okazji się stykać. Dobryń słyszał tylko od czasu do czasu o sukcesach byłego kolegi z roku i wcale nie był tym zdziwiony. W przeciwieństwie do innych profesji, w milicji „konkurencja” raczej podkreśla sukcesy kolegów, nie wyolbrzymia, albo stara się nie wyolbrzymiać porażek. Dlatego może nie doszły do wiadomości Dobrynia dwie przegrane kapitana Oleckiego, parę nagan za pewien luz w traktowaniu przewodu dochodzeniowego, wreszcie fakt odebrania mu sprawy, żeby po miesiącu z powrotem oddać ją w jego ręce, przyznając, że trop, którym prowadził śledztwo, był jedynym słusznym i właściwym tropem, uwieńczonym zresztą powodzeniem.

Pierwszym człowiekiem, który rzucił mu się w oczy, kiedy milicyjne wozy zajęły przed spalona stajnię, był właśnie Olecki. Kapitan stał w tłumie gapiów okalającym pogorzelsko i rozmawiał z wysokim, młodym człowiekiem o wyglądzie pracownika naukowego, który sprawiał poza tym wrażenie, że oprócz gimnastyki umysłowej nieobce mu są także ćwiczenia natury czysto fizycznej.

Olecki kręcił się już tutaj około godziny i starał się być szalenie rozmowny, wręcz plotkarski na temat tego, co się wydarzyło w nocy. Zagadywał przeważnie ludzi, których znał z widzenia, w większości pensjonariuszy Noguniowej. Dostrzegłszy wśród gapiów „naukowca”, przypomniał sobie, że to ten, który w chwili pierwszego strzału zareagował na cały incydent z niesmakiem; popsuto mu po prostu kolację.

— I pomyśleć, że to się mogło znacznie gorzej skończyć! — zauważył kapitan.

— Właśnie! — „naukowiec” przetarł chusteczką szklą w cienkiej oprawie i sprawdził efekt pod słońce. — No, ale podobno w środku jest zwłoczony trup.



— Co pan powie!

— Nie wiem, tak ludzie gadają.

— Jak to? Konie zdołały jakimś cudem wyrwać się z płomieni, a człowiek?... Nic z tego nie rozumiem.

— Mogły go stratować podczas ucieczki, czy ja wiem — wzruszył ramionami.

— Tak, to prawdopodobne — pokiwał głową kapitan.

W tym momencie zatrzymały się przed pogrzełiskiem milicyjne wozy. Olecki także dostrzegł od razu wysiadającego z poloneza porucznika Dobrynia.

\*

Było południe, słońce ciekło na wszystko jak miód z rozbitego dzbana.

Siedzieli w pokoiku Oleckiego, w leśniczówce. Kapitan zreferował już szczegółowo „Dziecinie” wydarzenia wczorajszego wieczoru, Kubisz zdążył się pochwalić swoją teorią na ten temat.

Kapitan celowo nie wspominał o podsłuchanej w nocy rozmowie na parking, właściwie strzępku rozmowy. Był to jakiś materiał, częściowo już nawet potwierdzony, ale na razie nie należało się śpieszyć z jego wykorzystaniem. Zamierzał pomóc Dobryniowi, co nie oznaczało jednak, że będzie mu narzucał swój punkt widzenia. Zresztą istniała możliwość pomyłki, zbiegu okoliczności... Olecki wolał zaczekać.

Zabrał się do przyrządzania kawy.

— Jasiu, wiesz co jest w tym wszystkim najistotniejsze? — powiedział nasypując do szklanek zabójcze porcje neski. — Przynajmniej mnie się wydaje, że to ci może właśnie dać potężnie w kość.

— Sprawa delikatna, jasne — „Dziecina” rozpiął mundur i rozluźnił pod szyją krawat. — Ta stadnina, kupa cudzoziemców, zagraniczny nieboszczyk na szosie...

Kapitan przerwał mu niecierpliwie:

— Jasiu, najistotniejszy jest tutaj czas. Powtarzam: czas.

— To się rozumie samo przez się...

— Nie, nie o to mi chodzi. Nie o ten czas obecny, terażniejszy. Nie o te ostatnie dwadzieścia cztery godziny, jak gdyby kulminacyjne, w których zaczęło się coś pleść i zaplatać. Podejrzewam, że ta doba musiała niejako zmasować wszystkie trzy wypadki.

— Podejrzewasz! — prychnął „Dziecina”.

— Na razie tylko na to mogę sobie pozwolić. I ty też — odciął się Olecki.

— Zgoda, że wczorajszy strzał do was, „przebierańców”, przedtem jeszcze „język”, na który nadział się pan Kubisz — Dobryń skłonił się lekko w stronę znanego i o dziwo! milczącego pisarza — no i wypadek Francuza, też na skutek przebicia opony kolcem, zgoda, że to można ze sobą luźno kojarzyć i dopatrywać się w tym świadomego działania. Ale pożar stajni?

— A co my w ogóle o tym pożarze wiemy? — zdenerwował się kapitan.

— Jasne, nic jeszcze nie wiemy. Trzeba zaczekać na pełną ekspertyzę. Najprawdopodobniej jednak ten stajenny, jak mu tam...

— Bodaryk — odpowiedział Olecki.

— Ten Bodaryk zaproszył ogień w stanie kompletnego zamroczenia gorzałką. Potwierdzają to zresztą znalezione obok zwłok butelki, no i moja wstępna rozmowa z dyrektorem stadniny. Facet był już na wylocie, właśnie za notoryczne pijaństwo. Przyłapano go już kilka razy na takich samotnych libacjach w stajni.

— To był jego drugi konik! — nie wytrzymał Kubisz.

— Na to wygląda — zaśmiał się „Dziecina”. — Litowano się nad nim, podobno rzeczywiście kochał konie i umiał o nie dbać.

— Mówił mi o tym — rzucił Olecki.

— Kto, dyrektor?

— Sam Bodaryk.

— Znałeś go? — zdziwił się Dobryń.

— Przez piętnaście minut — wyjaśnił kapitan. — Podwioziłem go wczoraj kawałek, zatrzymaliśmy się na chwilę przy Kubiszu, kiedy złapał gumę...

— „Jeżyk”, co?

— Właśnie, „jeżyk” skubaniutki.

Kapitan zastanowił się przez moment.

— Dziwne, ale Bodaryk jako miejscowy... Tak, przypominam sobie, że nawet jednym słowem nie skomentował tego wypadku, a przecież widział, czym przebita została opona. I tak jak dotąd był cholernie rozmowny, to potem resztę drogi do Paśeki przejechaliśmy prawie w milczeniu.

— Co to był za gość, tak na pierwszy rzut oka?

Olecki dołał sobie wody do kawy, zrobił stanowczo za mocną.

— Mówił, że był przed wojną dżokejem. Mały, szczupły, o dość przenikliwych oczach. No cóż, mógł być dżokejem, dlaczego nie? A w ogóle



wyglądał mi na takiego, co to z niejednego pieca jadł chleb. No i zalatywało od niego wodą.

— W samo południe, co? — Dobryń uśmiechnął się raczej smętnie. — Normalka.

Kapitan sięgnął po Kubiszowe cygaretki z kościanym ustnikiem. Zapalił jedną, wykrzywiło go, natychmiast zgasił.

— Jak ty możesz to świństwo palić? — zwrócił się do pisarza.

— Mogę — najeżył się Kubisz i wskazując paczkę extra mocnych Oleckiego zwrócił się do „Dzięciny”. — A propos chuchu... Znam facetów, od których niekoniecznie czuć gorzalką, ale...

— No już dobra, dobra — osadził go Olecki i zapalając swojego papierosa celowo puścił w stronę Kubisza kłąb gęstego dymu.

Dobryń uśmiechnął się z rozbawieniem.

— Jesteś pewien, Jasiu — podjął znowu temat kapitan — że aby pomyśleć coś sensownego o tym pożarze, musisz czekać na wynik ekspertyz?

— No niezupełnie.

— A zatem?

— Wiem już na pewno, że wrota stajni nie były zamknięte. Konie nie mogły ich wylamać, strażacy zastali je już otwarte. Podobnie jest chyba z boksami dla koni...

Olecki gwizdnął cicho przez zęby.

— Połapano już jakieś konie?

— Tak, kilka sztuk.

— Są poobijane, potłuczone?

— Raczej nie, tyle tylko, że... Rozumiesz, zwierzęta uciekały w szalonym popłochu...

— Sądząc po innych stajniach, boksy są tutaj więcej niż solidne. A zatem boksy przed tym, jak powiadasz, zaproszeniem ognia, musiały być również otwarte. To znaczy, że nasz Bodaryk, przewidując, iż może zaproszyć ogień, zapewnił przedtem koniom drogę ucieczki, tak?

— No tak..

— Bzdura!

— Jasne, że bzdura — potwierdził niezbyt pewnie „Dzięcina”, a potem dodał nagle: — Nie należy wykluczyć chęci zatuszowania jakiegoś... po prostu, jakiegoś przestępstwa gospodarczego.

— Człowieku, złotem tutaj są konie, a nie mury stajni! — prawie wykrzyknął Olecki. — A konie ocalały. Ktoś chciał, albo chciano, żeby ocalały!

— To są zbyt pośpieszne wnioski — próbował się ratować porucznik.

— W porządku, być może zaczynam trochę za wcześnie galopować — termin „galopować” w

związku z tą sprawą wydał się kapitanowi niezbyt szczęśliwy. — Powiedz mi w takim razie, czy przyjrzałeś się uważnie zwłokom, zwęglonym zwłokom Bodaryka? Zrobiłeś to, zanim zanieśli je do karetki i teraz już pewnie zaczynają „obrabiać” w Zakładzie?

— Oczywiście. A co?

— No właśnie: co?

Dobryń zastanowił się przez moment.

— Nie powinny być aż tak zwęglone — powiedział wreszcie.

— Otóż to!

Zapanowało na chwilę milczenie.

— Straż pożarna przyjechała mniej więcej w pół godziny po dostrzeżeniu ognia i alarmie — ciągnął dalej porucznik z wyraźną satysfakcją. — W międzyczasie już miejscowi zabrali się do gaszenia. A te zwłoki to jest prawie popiół, z munduru tylko guziki zostały, strzępki tkaniny...

Kubisz poczul, że robi mu się niedobrze.

— To znaczy, że dużo, dużo wcześniej zaczął się palić człowiek, a potem dopiero zapaliła się stajnia? — zapytał wprost kapitan.

— Albo że w innym miejscu spalono ciało, podrzucono do stajni i dopiero wtedy... — ciągle jeszcze chłopięca twarz „Dzięciny” pobladła raptownie. — Dajcie spokój, toż to makabra!

— Pamiętasz, co powiedziałem na samym początku? Powiedziałem, Jasiu, że najistotniejszy jest tutaj czas. I to nie ten obecny, teraźniejszy, jak wiesz, nigdy nie należałem do najskromniejszych, ale uwierz mi, czuję, że się nie mylę i że to wszystko sięga korzeniami gdzieś w głąb.

— Wszystko?

— Tak — odpowiedział zdecydowanie kapitan. — Chyba że pożaru czy podpalenia stajni nie chcesz podciągnąć pod wspólny mianownik wraz z tanytymi dwiema sprawami.

— Nie ma pewnych podstaw — zawahał się Dobryń. — To przypuszczenia, poczekajmy na orzeczenie...

— W porządku, poczekajmy — uciął niecierpliwie Olecki. — Mam nadzieję, że twoi ludzie zabezpieczyli rozbity wóz tego Francuza.

— Nie żartuj, jasne! — obruszył się „Dzięcina”.

— I że łuski po wystrzelonych nabojach też nie zapomnieli...

— Przeszukali każdy centymetr! — wypalił „Dzięcina” zły już trochę i naburmuszony.

— Nic?

— Nic.



— Jeszcze jeden dowód, że i w tym wypadku możemy mieć do czynienia z fachową robotą.

— Jest tylko jeden szkopuł — zauważył Dobryń. — Zakładając, że strzelał z dachu jednego z samochodów...

— Nic myśmy na to wpadli, ale madame Noguniowa — rzucił powstrzymujący się dotąd jakimś cudem od uwag pisarz.

— Gdyby tak było, a powiedziałaś, Jerzy, że wybiegłeś na zewnątrz natychmiast po strzałach — porucznik zawiesił lekko głos — to w jaki sposób w tak krótkim czasie udało się tamtemu pozierać łuski w ciemności i uciec, zanim zdążyłeś cokolwiek zauważyć?

— Mógł wrócić w nocy z latarką — wyjaśnił z miejsca Kubisz.

— To możliwe — przytaknął mu Dobryń.

— Albo strzelał z konia — zaskoczył ich obu kapitan.

— Jak to?

— Siedząc na koniu i z większej niż przypuszczamy odległości — powiedział Olecki i przypomniał porucznikowi o tętnie końskich kopyt, który — wydawało mu się — słyszał zaraz po wybiegnięciu przed pensjonat.

— To znaczy, że trop prowadzi do stadniny? — zamyślił się Dobryń.

— To jeszcze nic nie znaczy — zaproponował kapitan. — Ja mogłem się po prostu przesłyszeć, a o konia tutaj nietrudno.

— Tak Bogiem a prawdą, to ta robota nie była taka całkiem fachowa — uśmiechnął się „Dziczina”.

Kubisz zareagował niepotrzebnie złośliwie:

— Wyjątkowo trafne spostrzeżenie, poruczniku. Istotnie, nie było to chyba dzieło perfekjonisty: ja, jak pan widzi, żyję, mój znakomity przyjaciel także cieszy się dobrym zdrowiem.

— Zwłaszcza że to nie mieliście być wy — Dobryń nie przestawał się uśmiechać.

— Na pewno, tylko że tamten o tym nie wiedział — zaperzał się coraz bardziej pisarz.

— Wiedział natomiast, że tego wieczoru mieli na zajmowanych przez was miejscach siedzieć mecenas Dobruszek z „siostrzeńcem”, prawda?

— Czy wiedział? — wtrącił Olecki. — Zakładamy, że wiedział.

— Słusznie — „Dziczina” pozwolił sobie pochwalić kapitana i ciągnął dalej: — Rzekomo łada mecenasa i łada pańa Kubiszsa są identyczne. Kolor, może nawet początkowe litery rejestracyj-

ne, mają takie same. Ciekawe, czy mecenas Dobruszek lubi szybko prowadzić wóz?

— Dowiemy się, kiedy się tutaj zjawi.

— A zjawi się?

— Noguniowa twierdzi, że tak.

Zapadło chwilowe milczenie. Gdzieś blisko leśniczówki jakiś ptak rozkrzyczał się nagle.

— No cóż, panowie, według mnie ta cała sprawa wygląda tak, że można się na niej nawet bez ognia sparzyć — podsumował ich dotychczasową rozmowę Kubisz.

W tym momencie w progu stanął kapral Orłowski, wysokie, dwumetrowe prawie chłopisko.

— Obywatelu poruczniku... — zaczął zerkając niepewnie na cywilów.

— Możecie mówić, Orłowski — rozproszył jego obawy Dobryń.

— No więc melduję, że zabezpieczyliśmy mieszkanie tego Bodaryka. Mieszkanie? — kapral skrzywił się z obrzydzeniem. — Zwyczajna nora, obywatelu poruczniku. Jak tam normalny człowiek mógł mieszkać! Smród, cuchnie tak, że ledwie można wytrzymać.

Oleckiemu błysnęło coś w oku.

— Znaleźliście coś ciekawego? — zapytał Dobryń.

— Nic, pełno tylko pustych butelek po gorzale.

— Dziękuję, zaczekajcie na mnie przy samochodzie.

Kapral Orłowski odmeldował się.

— Janek, mam pewien pomysł — powiedział nagle kapitan.

— No?

— Mógłbyś na popołudnie dostarczyć tutaj parkę zdolnych psiaków?

— Mógłbym, tylko muszę mieć jakieś uzasadnienie.

— A nie masz? Powiedział ci przecież twój kapral, że tam cuchnie, cholernie cuchnie.

Ktoś mógłby przypuszczać, że spotkanie porucznika Dobrynia z Oleckim przed spaloną stajnią, a potem ich długa rozmowa w leśniczówce, to klasyczny okaz dekonspiracji tego ostatniego.

Nic z tych rzeczy.

Tam, obok stajni, kapitan rzucił się wprawdzie na spotkanie „Dzicziny”, ale dla uszu i oczu obecnych objawił się jako wręcz natrętny, skłonny do natychmiastowych zeznań świadek, który w chwili wybuchu pożaru znajdował się akurat w



poblizu katastrofy. Dobryń momentalnie zorientował się, co jest grane. Oznajmił głośno, iż skorzysta wkrótce z zeznań świadka, poprosił, aby pozostał do jego dyspozycji.

Noguniowa, którą także zaniósł w poblizze pogorzelska, na widok gotowości Oleckiego do współpracy z milicją puknęła się za jego plecami wymownie w czoło. Na tym jednak nie poprzestała i przy sposobności, odciągając kapitana na bok, szepnęła: „Po co to panu, panie Jureczku? Gdzie się pan pcha?” Odpowiedział: „Jestem prawnikiem, panie Geniu, to niemal mój obowiązek. Tak się złożyło, że nie mogłem spać, wie pani, zmiana powietrza, wyszedłem więc na spacer...” I tak dalej, i tak dalej z taką dawką powagi i stanowczości, że babsko w końcu zaczęło przyznawać mu rację, a on był pewien, że ani jej w głowie posądzanie go o wchodzenie w jakikolwiek, poza tymi, układy z milicją.

Kapitan w ten sposób wygrywał coś jeszcze. Chciał zwrócić na siebie uwagę. Tamta nocna rozmowa na parkingu nie dawała mu spokoju. Wyczuje, kiedy zacznie być obserwowany i wtedy zamienią się role — obserwującego on postara się dyskretnie obserwować.

\*

Oleckiego już od chwili przyjazdu tutaj coś męczyło. Coś, co musiał i miał zamiar teraz sprawdzić. Zasadniczo to nie liczył na nic, ale dla własnego świętego spokoju musiał to zrobić.

Kiedy spod leśniczówki odjeżdżał polonez Dobrynia, zapytał ciągle przygaszonego jakby pisarza:

— Maniek, kiedy skręcałeś na drogę do Pasieki, zatrzymywał cię ktoś? Ja wiem, że i tak byś nie przystanął, ale przypomnij sobie. Nikt nie chciał, żebyś go podwiózł?

— Myślisz o Bodaryku?

— Genialny jesteś!

— Nie, nikt.

— Na pewno? — uśmiechnął się Olecki, dawno nie dogryzał przyjacielowi. — Widzisz, Maniek, pytam tylko dlatego, że twój sposób prowadzenia wozu wyklucza wszelką orientację w tym, co się dzieje z boku, a wsteczne lustro służy ci wyłącznie do poprawiania fryzury...

— Od.. tego się, dobra? — rzucił Kubisz i poszedł do swojego pokoju.

Kapitan natomiast udał się na parking. Kiedy otwierał już drzwiczki swojego „malucha”, spo-

strzegł krzątającą się na werandzie pensjonatu Noguniową.

„Nigdy za dużo przypadkowych pogaduszek” — pomyślał.

I zawołał zbliżając się do werandy:

— Jak się czujemy, pani Geniu?

Nie czekając na oczywistą negatywną odpowiedź zatoczył ramieniem szerokie koło.

— Odkąd przyjeżdżam do Pasieki, takiej pogody nigdy tu nie było! Powinna pani to słońce umieścić w karcie dań i słono sobie za nie liczyć!

Oczywista odpowiedź Noguniowej:

— Ach, panie Jureczku!... To zamieszanie, Boże jedyny, co z tego wyniknie? Strzały, pożary i jeszcze na nieszczęście ten Francuz! To już nie na moje nerwy, panie Jureczku, cała jestem kłębkim nerwów, słowo daję, ledwo żyję. Słońce niby świeci, świeci kochaniećkie, a człowiekowi przed oczami ciemno.

Zeszła do Oleckiego na dół.

— Ten Bodaryk! No niech pan sam powie, tak strasznie skończył!...

— Znała go pani?

— Jakżeby nie! — wykrzyknęła prawie Noguniowa. — Pijanica jeden!... Kręcił mi się ciągle koło pensjonatu, ale stale pędziłam, nawet w poblizze zabroniłam przychodzić. Prawa wstępu tutaj nie miał. Tutaj wszystko elegancy, porządni ludzie, a on? Boże się pozał!...

— Jak by nie było, panie Geniu, to jednak szkoda człowieka.

— A pewnie! Człowieka zawsze szkoda, nawet gdyby to był... — Ech, szkoda gadać! — machnęła ręką. — Same nieszczęścia! A ten Francuz, co jechał naszą szosą... Jeszcze i to na dodatek!

— Spodziewała się go pani w Pasiecc?

— A gdzie tam! Nikt się taki nie zapowiadał, ze stadniny też nie było żadnej zapowiedzi.

— Jednym słowem — pech.

— Za dużo tych pechów, panie Jureczku, za dużo.

Olecki w asyście Noguniowej uruchomił silnik swojego „malucha”. Pensjonatowa potentatka przyglądała się temu z miną, mówiąc najogólniej, na poły drwiącą.

Nie wytrzymała taksując krytycznym okiem czerwony samochodzik kapitana:

— A pan Jureczek, za przeproszeniem, to już nie może czym innym jeździć? Mecenas pan przecież!

Niechęący wyszła mu naprzeciw.

— Nie jestem jeszcze Dobruszkiem — pod-



chwycił temat. — Nie mam jeszcze pozycji, pani Geniu. Ale na wszystko przyjdzie czas. A właśnie... Mecenasa miał być tutaj wczoraj, prawda? Chyba stało się coś...

— Bóg jeden wie, co się mogło stać. Zazwyczaj przyjeżdżał na obiad, a jak nie, jak mu coś tam wypadło, to wiedziałam, że na kolacji będzie musowo, kiedy już zapowiedział przyjazd. Nie wiem... Pokój dla niego ciągle trzymam.

— Na pewno mu coś wypadło. Wie pani, pani Geniu, prawnik to jak lekarz, musi być ciągle pod ręką, w pogotowiu — wymyślił to sobie na poczekaniu Olecki, a potem chcąc przedłużyć rozmowę, zgasił silnik, zamarkował, że to jakaś awaria. — A niech cię!... Ciągle coś z tym zapłonem! Mówię pani, kochana pani Geniu, dopłaciłem już do tego bydlaka więcej niż on cały, łącznie z przejechaną benzyną, kosztuje!

Otworzył pokrywę silnika, udał, że się w nim grzebie.

Czekał na kolejne „wystąpienie” Noguniowej.

I doczekał się, trafiła bezbłędnie w temat, który miał zamiar postawić jakby mimochodem „na wokandzie” tego letniego, aż do przesady pomalowanego gorącym latem dnia. Zaraz w sekundę potem okazało się, że malarskie walory tego południa idą w parze z uzdolnieniami interesującego go człowieka, a właściwie...

No nic.

— Taki pan Stanek!... — gospodyni patrzyła na kapitana z politowaniem. — Niby malarz, pacykarz, jak to mówią, panie Jureczku, a jeździ czymś solidniejszym. Jak człowiek się nie postara, to mu nawet wujek z Ameryki nie da! — zaśmiała się.

Wskazała czerstwą dłonią białego mercedesa rocznik siedemdziesiąt jeden.

— Stanek? Coś mi mówi to nazwisko — kapitan oderwał się od silnika, dla pozorów pobrudził sobie dłonie smarem. — Który to, pani Geniu?

Opisała mu z zachwytem „naukowca”.

— A więc to malarz? — zdobył się wobec Noguniowej na omal radosny okrzyk. Jednocześnie przypomniał sobie, że oglądał kiedyś w telewizji młodego „profesora docenta”, którego fryzura typu „afro” kłębiła się intensywnie na wizji i gdyby nie tekst, który tamten wypowiadał, można by go śmiało zaszeregować między tych, którzy udowadniają, że znoszony przez artystę but jest także sztuką.

Po tym radosnym „A więc to malarz!”, Noguniowa zawtórowała mu z równym zachwytem:

— Konie maluje, wie pan, panie Jureczku! A jak pięknie, jak pięknie!... Upodobał sobie koniki i nawet pan nie wie, jak on to przepięknie oddaje! Olecki nie wiedział.

— Trzeci rok, jak już tutaj przyjeżdża. Nie ma dwóch miesięcy, żeby nie wpadł. Śmieje się, że tak jak te nasze koniki idą za dolary, to jego obrazki tak samo. Ja nawet mam taki jeden, w zimie go malował.

„Kossak skubany” — pomyślał nie bez niechęci kapitan.

\*

Wyjechał z Pasieki na szosę. Słońce grało niemiłosiernie; z nielicznych obłoków na niebie zrobił się skisły twaróg.

„Maluch” kapitana wydawał się grzęznąć w upale.

„Nic, przecież nie wierzysz, Olecki, w intuicję. To tak samo jakbyś wierzył w telepatię. Chociaż telepatia... Warto się temu przyjrzeć z bliska. Nie, Olecki, wbrew pozorom dla ciebie materiałem do śledztwa jest rzeczywisty stan rzeczy. Ten zewnętrzny i ten domniemany, niejako na zapleczu. Starasz się odnajdować okruchy, fragmenty, strzępki. I lepsz je w całość, swoją całość. Kiedy masz już taki blok przed sobą, zaczynasz rewidować poszczególne piętra, a zdarza się, często się zdarza, że musisz także burzyć fundamenty gmachu, który w swojej niecierpliwości postawiłeś. Zaraz, zaraz... Powiedziałem „Dziecinie”: czas. To otchłanny trop. Jeżeli to nie jest tak?... Ale ty uparty jesteś, Olecki. Uparte, toporne bydlę i prędko nie zrezygnujesz ze swojego. A jeśli będziesz musiał? Bywało przecież i tak. Nie da się zaprzeczyć, bywało. Tylko, że zawsze zostawał jakiś kawałek myślenia, cząstka, odłamek muru tej twojej rozbuchanej budowli. I okazywał się w rezultacie podstawą do rzeczywistego rozwiązania. Zarozumiałaś jesteś, Olecki. A dlaczego nie? Twój szef ma z tobą dużo kłopotów, ale ty go wybawiasz od jeszcze większych. Niech to szlag, kapitanie Olecki, człowiek zawsze ma w sobie coś z harcerzyka i zazwyczaj źle na tym wychodzi, zwłaszcza człowiek pod tytułem: „milicjant”. Tak to jest i w najbliższym czasie nie ma na to rady”.

Dojechał do skrzyżowania z główną szosą.

Zaparkował „malucha” na poboczu i rozejrzał się wokół, ale tak, jakby tej okolicy w ogóle nie



znał, jakby każde zamilkłe od upalu drzewo było mu obce.

Jest — wieża triangulacyjna.

Ruszył przez łąkę w tamtą stronę. U stóp wieży zauważył porzuconą w trawie butelkę po „żytniej”, a tuż obok pulsował słońcem kawałek rozbitego lustra, w promieniu paru metrów mnóstwo niedopałków, jakby je ktoś rozsiewał z góry.

Po wąskich drabinkach zaczął się wspinać na wieżę. Po dotarciu na wysokość drugiego podestu zatrzymał się nagle i spojrzął w dół. Wydało mu się, że zagłębiony w trawie kawałek lustra daje mu krótkimi rozbłyskami jakieś znaki. Zszedł szybko na ziemię, umieścił szkło w turystycznej torbie i zaczął się z powrotem wspinać na szczyt wieży.

Widok z góry rozciągał się na drogę do Pasieki, przylegające do niej łąki i zagajniki.

Olecki wyjął z torby lustro i ustawił je pod słońce; zaatakowało natychmiast, uderzyło weń całymimi garściami promieni.

Kapitan spróbował poruszyć kilkakrotnie roziskrzoną powierzchnią.

Tak, ten ognisty punkt można było widzieć nawet z odległości paru kilometrów. „Stara skautowska metoda, pomyślał, tylko że to nie wygląda na robotę skautów”.

Za pomocą scyzoryka udało mu się zamocować lustro w drewnianej poręczy podestu. Potem błyskawicznie zsunął się po drabinkach na dół. Odnalazł w trawie butelkę po „żytniej” i przez chusteczkę schował ją do torby. W imponującym, niemal sprinterskim tempie przebył odległość dzielącą go od pozostawionego na szosie „malucha”.

Jadąc wolno w stronę Pasieki usiłował odnaleźć miejsce, w którym Kubisz złapał tę pechową gumę. Nie było żadnego wyraźnego punktu — niemal jednakowe, przywarte do szosy drzewa, ciągnące się wzdłuż rowu krzaki, łąka, zagajnik. Francuz miał wypadek w pobliżu Pasieki, Kubisz chyba gdzieś w połowie drogi.

Olecki wysiadł z samochodu i przeszedł jakieś dwieście metrów z oczami ukwionymi w szosie. Długo nie było nic, wreszcie podwójne ciemne krechy na powierzchni asfaltu wskazujące na drogę niebezpiecznego hamowania, które omal nie przeszło w poślizg. Prawdopodobnie w tym miejscu musiało nastąpić przebicie opony w samochodzie Kubisza.

Kapitan przeskoczył płytki rów i przedzierając się przez krzaki wyszedł na łąkę przylegającą do brzoźowego zagajnika. Spojrzął w stronę widocznej stąd wieży triangulacyjnej.

Pozostawione na jej szczycie lustro lśniło. Jak najczystszej próby brylant migotało mu przed oczami z odległości około trzech kilometrów. Jeżeli miało coś sygnalizować, to czyniło to dość skutecznie. Kiedyś zresztą za pomocą takiego „nadajnika” przekazywano mnóstwo informacji. Nie ma powodu sądzić, że teraz także nie można tym systemem czegoś załatwić.

Olecki rzucił się na wznak między rozgrzane trawy. Postanowił chociaż przez godzinę korzystać z przynależnego mu urlopu. Intensywny zapach łąki zaczął go usypiać, przez zmrużone powieki coraz mniej wyraźnie widział nad sobą wysokie, pomalowane upałem niebo.

Po godzinie, jakby miał w kieszeni rozwrzeszczany budzik, był już na nogach i uruchamiał swojego „malucha”. W dwadzieścia minut później zaparkował go przed budynkiem poczty w pobliskim miasteczku.

Zamówił błyskawiczną z Warszawą.

Sprowadzone z komendy wojewódzkiej wilczury zrobili swoje.

Trop prowadzący od mieszkania Bodaryka był jednak pokretny i psy niejednokrotnie się gubiły. Oczywiście, najpierw rzuciły się w kierunku stajni, chociaż jeden z nich uparcie ciągnął w stronę pensjonatu. Spaleniżna zdezorientowała na chwilę psiaki, zaczęły krążyć w miejscu. Wreszcie wilczur Michałek złapał coś w nozdrza i szurnął do przodu z takim impetem, że opiekującą się nim plutonowy omal nie połamano nóg.

Suka Aza podążyła za nim, ale gdzieś w połowie drogi przystanęła i zaczęła się bezradnie rozglądać. Wydawało się, że ciągnie ją w kierunku szosy. Łąka w tym miejscu była torfowata, nawilgła, gdzie nie stąpnąć czuło się pod nogami wodę. Psiak obracał się to w jedną, to w drugą stronę.

Michałek dobiegał już w tym czasie do leśnej polany i tu znowu zatrzymał go zapach spaleniżny. Ktoś na skraju tej polany palił wielkie ognisko, które potem usiłował w pośpiechu, ale niezbyt skutecznie, zagrzebać. Niemniej wyglądałoby to tylko na ognisko, gdyby nie znaleziony o pięćdziesiąt metrów dalej kanister po benzynie.

Porucznik Dobryń pomyślał, że należałoby natychmiast porozmawiać z Oleckim.



Szli brzegiem jeziora. Bijące już lekkim skosem słońce nadal było nie do zniesienia.

Nie ulegało wątpliwości, że pomysł z psami okazał się posunięciem sensownym. Bodaryk albo ktoś z jego otoczenia nie piekł chyba na skraju polany kielbasek, a w dodatku podlewanych być może benzyną. Ognisko było świeże. A zatem kto i po co je rozpalil, zagrzebując potem dość niezręcznie i zapewne w pośpiechu?

Olecki opowiedział porucznikowi o swojej wizycie na wieży triangulacyjnej i poczynionych w związku z tym obserwacjach. Mówiąc o tym starał się niczego koledze nie sugerować. Przekazał mu też znaną u stóp wieży butelkę po wodce; tym szkłem i paru innymi przedmiotami powinni się zająć czym prędzej specje od daktyloskopii.

Zdziwiła go trochę reakcja na to wszystko Dobrynia, zwłaszcza kiedy na zakończenie oświadczył:

— Jasiu, Warszawa jest już przede mną powiadomiona o tym, co się tutaj dzieje. Myślę, że już jutro będę miał jakieś dodatkowe informacje.

— Jak to? — zaperzył się wyraźnie „Dziecina”.

— Nie ma się co obrażać! — powiedział nieco ostrzejszym tonem kapitan. — Warszawa zaczęła pracować i zapewne jest już w kontakcie z twoim szefem. Współpracuję więc z tobą niejako oficjalnie i nieoficjalnie. Ta druga rola bardziej mi odpowiada, chociażby ze względu na ciebie i twoje posunięcia.

„Dziecina” wybuchnął nagle:

— Zawsze byłeś drań i cholerny megaloman!

— Jestem tylko twoim kolegą i chcę ci naprawdę pomóc — zdobył się na cierpliwość Olecki.

— Dziękuję, sam sobie dam radę!

— W tym przypadku nie dasz!

Kapitan także podniósł głos, opanowanie poszło gdzieś w diabły, wiedział, że ma rację.

— I posłuchaj co ci jeszcze powiem... Znamy się tyle lat, zdaje się, że nawet lubiliśmy się. To jest śmierdząca, a zarazem chyba ważna sprawa. Więc nie zachowuj się jak... jak...

Nie dokończył, machnął ręką i zamilkł. Ruszył brzegiem jeziora, Dobryń po chwili zaczął iść za nim.

Niedaleko brzegu, tuż na skraju trzcin, powstał jakiś ruch. Chyba wystartował na łowy szeszupak albo spory okoń, gdyż zaraz potem jak iskry wyrwały się nad powierzchnię wody uklejkę i inny

drobiazg. Wachlarzowato wyskakiwały do góry, aby w sekundę potem zniknąć i zasrebrzyć się, gnane strachem, w innym miejscu jeziora.

Olecki obejrzał się za siebie i przystanął. „Dziecina” wiedział już, że się wygłupił. Wiedział także, że za chwilę cały ten incydent pójdzie w niepamięć.

Kapitan pożegnał się z Dobryniem i skrzył w stronę leśniczówki. Nie uszedł nawet trzystu metrów, kiedy zobaczył rozstawione na łące sztalugi. Domyślił się, że to jego „naukowiec”, czyli w rzeczywistości malarz Stanek zabrał się do zarabiania na kawałek chleba z masłem. Noguńowa powiedziała Oleckiemu, że ulubionym tematem Stanka są konie, a tu w pobliżu nawet krowy nie można było dostrzec. Czyżby artysta przerzucił się na pejzaż?

Poza tym przy sztalugach nie było nikogo, nikt nie machał pędzlem, chociaż płótno zostało już zagruntowane, a obok leżało pudło z farbami.

Może „naukowiec” (Olecki nie przestawał tak malarza w myślach nazywać) musiał skoczyć gdzieś w krzaki za potrzebą?

Rozejrzał się wokół — ani żywego ducha.

A może?... Nie, bzdura.

Zbliżając się do leśniczówki już z daleka usłyszał wściekły, nieustanny stukot maszyny do pisania, który dobywał się przez otwarte okno pokoju Kubisza.

Zajrzał tam.

— Maniek, czyżby to miała być nowa „Zbrodnia i kara”?

Kubisz odpowiedział mu w tym samym stylu:

— Nie, to donos. Donos na niektórych pracowników wiadomej nam instytucji, których nigdy nie ma tam, gdzie są potrzebni.

— Co ty powiesz! Słowo daję, zaintrygowałeś mnie. Można wiedzieć, na czym polega mój błąd?

— Przejdź się na parking. Zobaczysz tam koralowego fiata 128p sport, rejestracja warszawska.

— Założmy, że to zrobię. No i co?

— Założmy również, że dzisiaj na kolacji zobaczysz młodzieńca, którego sposób bycia i uroda całkowicie odpowiadają naszym wyobrażeniom na temat „siostrzeńców” mecenasa Dobruszka.

Kapitan zaśmiał się.



— Podobnie jak ty stanowisz idealny sobowtór samego „wujcia”!...

— Zaraz ci ten śmiech bokiem wyjdzie! — zapewnił przyjaciela pisarz i postanowił nokautować. — Rozmawiałem z Noguniową. Ten „aniołek” przyjechał tu już tydzień temu i powołując się na mecenasa dostał pokój. Nie, nie, to nie jest ten pięknota, z którym Dobruszek od dwóch lat tutaj przyjeżdżał. Więcej, przedwczoraj, czyli na dzień przed naszym przyjazdem opuścił Pasiekę rezerwując nadal pokój. No i wreszcie ten futerał!...

— Jaki futerał? — zapytał Olecki nie czując się bynajmniej znokautowanym.

— Jaki? Od skrzypiec, a właściwie po skrzypcach! — wykrzyknął niemal Kubisz.

— Dlaczego „po”?

— Rozmontowany sztucer łatwo się przecież w czymś takim zmieści!

✓ Kapitan zaczerpnął powietrza, żeby nie paść na miejscu z tak zwanego wrażenia i przyglądając się uważnie przyjacielowi powiedział łagodnie:

— Maniek, puknijże ty się w to swoje wysokie i podobno myślące czoło.

Kubisza zatkało. Nie chodziło o zakwestiowanie jego dedukcyjnych umiejętności, ale o to „wysokie czoło”, co dla faceta wyraźnie lysiejącego stanowiło obrzęę pierwszego stopnia. Żeby go jeszcze do końca dobić, w tym samym momencie doszły do nich z nieodległego pensjonatu pierwsze takty jednego z „concerti grossi” Antonio Vivaldiego. Olecki nie był specjalnym koneserem, ale wydało mu się, że grający wie, co trzyma w rękach.

Fraza urwała się nagle i skrzypek powtórzył ją od nowa.

— To jeszcze o niczym nie świadczy! — wyrwało się pisarzowi. — Normalna zmyłka! Skrzypek mógł zostać w pokoju, a w futerał... Przydałaby się rewizja i sprawdzenie, co on robił wczorajszego wieczoru.

— Niby na jakiej podstawie? — zapytał ostro Olecki, żeby już skończyć z tym tematem. W duchu jednakże stwierdzał, iż nie należy domysłów przyjaciela ignorować, że niejednokrotnie były one bliskie prawdy. W końcu, niczym nie ryzykując, Dobryń mógłby dyskretnie „wirtuoza” sprawdzić.

Powiedział o tym przyjacielowi, którego to na krótki czas usatysfakcjonowało. Zrelacjonował mu także swoją wycieczkę do wieży triangulacyjnej, poinformował go o znalezionym przez psy ognisku i kanistrze po benzynie. Nie widział żadnych powodów, aby opowiadać mu o telefonie

do Warszawy i starciu, a właściwie sprzeczce z „Dziecią”. Było jeszcze parę innych rzeczy, w które nie chciał na razie pisarza wtajemniczać.

— Maniek, no i co ci po tym wszystkim przychodzi do głowy? — zapytał na koniec.

Kubisz uśmiechnął się, że się zastanawia, chociaż refleksje z tym związaną miał już gotową.

— Naiwniaczek pomyślałby sobie tak... — zaczął.

— W porządku, bądź „naiwniaczkiem” — uśmiechnął się kapitan.

— Otóż pomyślałby sobie, że to stało się teraz, ale zaczynało się stawać już znacznie wcześniej.

— Brawo, Maniek!

— To pachnie popiołem.

— Masz rację.

— Popiołem spraw.

— Przemawia już przez ciebie poeta.

— Nie szkodzi — odparł skromnie autor „kryminałów”. — Wiesz, Jurek, ludzie! Przede wszystkim ludzie, którzy gdzieś za tym stoją, ukrywają się...

— W polu widzenia mamy ich bardzo niewiele. Przepuszczalnie jeden z nich zwęglił się doszczętnie.

— Ale chyba nie dasz mu nawet po śmierci odpocząć? — zażartował makabrycznie pisarz.

— Nie stać mnie na to.

— No to kamień z serca!

— Tak się tym przejmujesz?

— Powiedzmy. Masz już coś?

— Nicwiele.

— Nie chcesz powiedzieć?

— Zgadłeś.

— W porządku.

Kubisz rozprostował plecy, wyrzucił do przodu ramiona i wykonał kilka przysiadów. Następnie zapalił jedną ze swoich cygaretek, na widok której Oleckiemu żołądek podskoczył do gardła.

— Co zamierzasz? — zapytał protekcyjnym tonem.

— Jak zwykle, czekam — odparł pokornie kapitan. — Zresztą sprawę prowadzi Dobryń.

Pisarz zaczął się wyraźnie rozkoszować cygaretką.

— Mogę ci coś powiedzieć — zaskoczył z nagłą — albo poradzić jak przyjacielowi?

— Wał śmiało!

— Pomóż mi! — zdecydował pryncypialnie Kubisz, a wyraz jego twarzy wykluczał możliwość jakiegokolwiek odwołania od tej decyzji.

Oczywiście, miał na myśli Dobrynia.



Przez moment powaga i owa pryncypialność Kubisza tak podziaływały Oleckiemu na nerwy, że był o krok od tego, aby jednym uderzeniem pięści zakłócić pewny siebie spokój fizjonomii pisarza, ubrać jedno z jego przymrużonych oczek w fioletry i patrzeć z satysfakcją, jak wszystko zaczyna równo puchnąć. Pokusa została odparta, zamiast tego wymamrotał coś w rodzaju „Tak, tak naturalnie, to mój obowiązek” i spytał przyjaciela, co też takiego ten wypisywał na swojej zasłużonej maszynie do pisania.

— List miłosny do wydawnictwa — Kubisz wykręcił z walka arkusz papieru. — Prośba, błaganie o przedłużeniu terminu oddania powieści o jakiegoś pół roku.

Olecki gwizdnął z uznaniem.

— Ty masz tupet, Maniek. Co ci nie wychodzi?

— Wszystko. To znaczy mam rozwiązanie i nie mogę do niego dobrać reszty.

— Odwrotnie niż u mnie.

— Ano właśnie.

— I na tym polega przyciąganie się przeciwnieństw! — roześmiał się kapitan.

Nic mieli ochoty na obiad w pensjonacie, załatwili sprawę kanapkami. Ociągał się także z północnym na kolację. Wreszcie zdecydowali, że pójdą, chociażby dlatego, żeby Olecki obejrzał sobie kandydata na jednego z „siostrzeńców” mecenasa Dobruszka.

Kiedy weszli do jadalni, Olecki zaczął się lekko kłaniać na lewo i prawo. Uśmiechnął się także do „naukowca”. Nie wypadło inaczej; rano przed spaloną ślajnią zawarł przecież kilka znajomości wypytując natrętnie znanych sobie tylko z widzenia ludzi o wydarzenia ostatniej nocy.

Kubisz czuł się bardzo pewnie, wczorajszy „milionerski błamaż” zdawał się w niczym nie zakłócać jego samopoczucia.

Domniemanego „siostrzeńca” mecenasa Dobruszka posadziła Noguniowa przy ich wczorajszym stoliku, tyle tylko, że stół został przesunięty bardziej pod ścianę. Młodzieniec rzeczywiście mógł pasować do roli, w której obsadził go Kubisz. Jego duże, jak gdyby narkotycznie poszerzone oczy, rzucały spojżenia od jednej twarzy do drugiej, zachłanne w patrzeniu, powleczone jakimś zmatowiałym blaskiem. No cóż, mogły to być także oczy artysty...

Olecki rozejrział się jeszcze raz po jadalni. Jednej z siedzących tu osób powinien Dobryń załatwić jakiegoś rozgarniętego „opiekuna”. Mo-

że ten chłopak udawać studenta, który z namiocikiem na plecach wędruje sobie przez rozsloneczniony kraj. Jest więcej niż pewne, że gdyby zechciał ten namiocik rozbić w granicach „posiadłości” Noguniowej, ta czym prędzej przepędzi go w diabły. Nie szkodzi. Ich student może zakwaterować się nieco dalej, niemniej w pobliżu, i powinien go interesować pewien rodzaj owadów dotąd jeszcze niedostatecznie opracowany przez luminarzy nauki. To usprawiedliwi jego ruchliwość.

Kapitan obawiał się tylko, czy „Dziecina” może liczyć na swoich ludzi, a jeżeli już tak, to jakich.

Nazajutrz o godzinie ósmej rano Olecki był już w pobliskim miasteczku.

Wszedł do budynku poczty myśląc, że będzie pierwszym interesantem, i od razu natknął się na „naukowca”, który — zdążając właśnie do jedynej kabiny telefonicznej — pozdrowił go lekkim ruchem ręki.

Panička przy centralce manipulowała wtyczkami, potem rzuciła do mikrofonu:

— Jest Gdynia, proszę mówić.

Przez szybę kabiny widać było poruszające się intensywnie wargi „naukowca”, których układ mógł wskazywać na wymawianie bez przerwy tylko jednego słowa: „Halo, halo, halo”. Wreszcie „naukowiec” odłożył słuchawkę i wypadł wściekły z kabiny.

— Jak pani łączy? — natarł na telefonistkę. — Jednego słowa nie słyszałem!...

— Mogę jeszcze raz spróbować — zaproponowała spokojnie panička przy centralce.

— Nie, dziękuję! — warknął „naukowiec” i dodał zwracając się do Oleckiego: — Te nasze telefony!... Człowiek w takiej Francji telefonuje z zapadłej dziury do Nowego Jorku i słycać go tak, jakby dzwonił z sąsiedniej ulicy!

— Tak, cholery można dostać z tymi naszymi telefonami! — przytaknął mu kapitan.

„Naukowiec” opuścił pocztę trzaskając za sobą rozlatującymi się i tak drzwiami.

— Nic nie rozumiem — powiedziała telefonistka, której zdaje się nie udzielały się żadne emocje. — Połączenie przecież było...

— Może gdzieś na linii... — podrzucił Olecki.

— Nie, na pewno nie — odparła spokojnym nadal i kategorycznym niemal tonem.

Zobaczył, jak na formularzu obok numeru telefonu, który zamawiał „naukowiec”, robi jakąś



adnotację. Kiedy skończyła pisać, zwróciła wypraną z jakiegokolwiek wyrazu twarz ku Oleckiemu.

— Co ma być? — zapytała.

— Blyskawiczna w Warszawie — uśmiechnął się czarując i podał numer.

Podjeżdżając pod pocztę nie zauważył mercedesa rocznik siedemdziesiąt jeden. „Naukowiec” musiał chyba zaparkować wóz w jakiejś bocznej uliczce, albo pod knajpą, która już od wczesnego rana funkcjonowała na pełnych obrotach. Możliwe także, że te piętnaście kilometrów dzielące Pasiękę od miasteczka przebył na piechotę, może nawet biegnąc, co świadczyłoby tylko na jego korzyść, jako że artyści wstają raczej późno i po przebudzeniu nie w głowie im bieganie, już prędzej chłodne piwo. Ech, ci artyści — westchnął sobie dobrodusznie Olecki dodając do listy „wirtuoza” zakochanego w Vivaldim, wciągając na nią także aż za dobrze znanego mu pisarza.

Kapitan przyjechał do miasteczka ładą przyjaciela. W pisarzu coś się tam rodziło, miał zamiar pisać od rana, ledwie się przebudził, już chodził jak podminowany. Dlatego nie chciał opuszczać Pasięki i poprosił kapitana, aby ten znalazł jakiś warsztat samochodowy, gdzie przypadkiem wulkanizują także opony. Po tym „języku” nie ma zapasowego koła, a to równa się sytuacji faceta, który z nogą w gipsie pozbawiony jest choćby jednej kuli czy łaski. Każdy zmotoryzowany nieszczęśnik zna ten ból.

Olecki uzyskał połączenie z Warszawą bardzo szybko. Informacje, nadawane po drugiej stronie kabla spokojnym i rzeczowym głosem, w żadnym stopniu nie zadziały kojąco na kapitana.

Wyszedł z poczty, wsiadł do łady, ruszył i już po chwili dostrzegł we wstecznym lusterku znajomy sobie wóz, białego mercedesa. W przyzwoitej odległości, wolno i płynnie, posuwał się jakby tropem łady.

Zaraz, co tu jest grane? Może wetknął nos w to, w co nie powinien wtykać? Może cała historia rozgrywa się na jeszcze wyższym szczeblu, może ma do czynienia z kolegą po fachu, który działa długofalowo i wszystkie dotychczasowe poczynania Dobrynia nie są mu na rękę? W tym także jego maskujące się zabiegi? Ale w takim razie Warszawa dałaby mu coś do zrozumienia. A jeśli nie? Jeśli to znowu jakiś piekielny plan pułkownika Szyfrana? Ten stary diabeł potrafi zakręcić tak, że człowiek przydaje mu się dopiero w ostatniej chwili nie wiedząc nawet, że był w kręgu jego szatańskich manipulacji.

Nie, nie... Tylko nie dajmy się zwariować, kapitanie Olecki, zwłaszcza jeśli się okaże, iż to ty jesteś na liście podejrzanych...

Roześmiał się puszczając na moment kierownicę, następnie błyskawicznie skręcił w boczna uliczkę. I zatrzymał się. Spojrzał we wsteczne lusterko — ani śladu mercedesa. Pokręcił głową jakby od samego rana zaczynały go nawiedzać halucynacje.

Przypomniał sobie o prośbie Kubisza. Wulkanizacja opony powinna trochę potrwać, więc jeśli „naukowiec” będzie gdzieś potem na niego czekał, może to świadczyć tylko o jednym... Zatem ta zabawa w „znikający punkt” nie ma sensu.

Dla świętego spokoju pokręcił się jeszcze trochę po uliczkach miasteczka. Nikt już za nim nie jechał. Minał jeszcze jakąś uliczkę i na rogu koszmarnie wymalowany szyld powiadomił go, że o dwieście metrów dalej znajduje się warsztat samochodowy, firma „K. Zasuwny”.

Wjechał na podwórze warsztatu, i, naiwny, wyjął od razu z bagażnika przebite koło. Wychodzący mu naprzeciw mistrzuniu skrzywił się na ten widok, chwilę tajemniczo pomilczał, wreszcie odwracając się przez ramię gwizdnął.

Gwizd przywołał umorusanego nieludzko szczupłego blondynka, pomocnika.

— Stasiu, na kiedy my to możemy zrobić? — zapytał mistrzuniu.

Stasio odpowiedział prawidłowo:

— Roboty jest od groma, a obcyndalać się specjalnie z jednym kółkiem, to nie moja działka. Jak chce, to niech je zostawi i za jakie cztery dni...

— Pięć — poprawił szef.

— Fakt — zgodził się blondynek. — Za jakie pięć dni może je se nadmuchać.

Kapitanowi, że względu na enigmatycznego dosyć „naukowca”, zależało, żeby spędzić wśród tych dowcipnych ludzi trochę czasu. Dlatego nie posłużył się legitymacją i przy pomocy tej „magicznej książeczki” nie przywołał dowcipnisiów — to już nie były żarty, to norma — do porządku. Firma „K. Zasuwny” była jedyną w okolicy i K. Zasuwny mógł sobie pozwolić na wszystko. Dziwiło to, bo o kilka kilometrów dalej parkowało mnóstwo samochodów, jeszcze więcej przejeżdżało obok międzynarodową trasą. Nawet najlepsze wozy się psują. Kto ma z tego działkę, że tylko firma „K. Zasuwny” prosperuje w tym rejonie? Postanowił spytać o to Dobrynia, a na razie nie pozostawało mu nic innego, tylko zaproponować sumę, która wyda się obu fachowcom zachęcająca.



Tak też zrobił, zwłaszcza że koszt reperacji obciąży Mańka, a cóż to dla niego — trzy strony maszynopisu!

Oczywiście, dobrego tekstu.

\*

„Naukowiec” czekał.

Czekał na jedynej drodze, która wiodła z miasteczka do Pasieki. I na odwrót.

„Kto tu kogo wytrzyma, kto tu kogo sprawda” — pomyślał już nieco podenerwowany kapitan. — „Jeśli on nie ma zamiaru się dekonspirować przede mną, to ja także udam »głupiego Jasia« Zda się, że w tej grze w ogóle obowiązują takie założenie. Chowajmy się za samych siebie, jeśli czego innego brak w pobliżu. No dobrze, a gdy on spyta nagle: »Co dalej robimy z tym bigosem, kapitanie Olecki?« Całkiem możliwe, że może tak nagle spytać. Jeżeli to duży cwaniak, to może w ten sposób zapytać, może to zrobić niezależnie od tego, czy jest człowiekiem Szyfrana albo nawet kogoś, kto stoi od pułkownika wyżej. Tylko dlaczego Warszawa... Dość! Po jaką cholerę te wszystkie założenia? Co nieco już masz przecież, Olecki. Ponosi cię teraz wyobraźnia i stąd te bzdety. Wróćmy na swoje podwórko, kapitanie i trzymajmy się swojej wprowadzie karłowatej, ale chyba słusznej linii. Na razie trzeba przypuścić, iż ten facet chce wejść z tobą w jakiś bliższy, choć niezbyt obowiązujący obie strony kontakt”.

Biały mercedes stał na poboczu z podniesioną maską silnika. Jego właściciel grzebał w środku, tak to przynajmniej wyglądało z daleka. Uszawszy warkot zbliżającego się samochodu zastopował go uniesioną do góry ręką.

Olecki, przygotowany już na ten numer, zatrzymał się natychmiast.

Malarz Stanek podszedł do lady z uśmiechem, który charakteryzuje każdego kierowcę w biedzie.

— Cześć! — przywitał się z kapitanem sympatycznym, ciepłym głosem. — Świetnie się składa, że to akurat pan, sąsiedzie.

— Sąsiedzie? — zdziwił się Olecki.

— Sąsiadujemy ze sobą stolikami! — roześmiał się „naukowiec”.

— Ach tak, jasne! — zawtórował mu kapitan.

Przez chwilę Olecki zwątpił we wszystko, co sobie na temat „naukowca” wcześniej pomyślał.

Ale była to tylko chwila.

— No więc co jest, sąsiedzie? — kapitana to

„sąsiadowanie” zaczynało najwyraźniej bawić, wysiadł z wozu i zbliżył się do mercedesa.

— Najmocniej pana przepraszam, że zatrzymałem, ale zaczęła mi się gwałtownie palić lampa oleju — tłumaczył się „naukowiec”. — Obawiam się, że mogę zatrzeć tłoki. Zresztą nie wiem, czy to jest akurat to... Ze mnie żaden mechanik. Jedźcie, to dobrze, nie jedźcie, drugie dobrze. Ale może, sąsiedzie, ma pan jakiś zapas oleju, żeby tylko odrobinę uzupełnić!...

Olecki nie miał, to znaczy w swoim „maluchu” miał, nie wiedział tylko, czy taki zapas wozi ze sobą Kubisz. Ale chyba nie chodzi tutaj o olej? Chyba nie o to, bo inaczej...

„Zaraz, jak jest z mercedesami? Czy olej, służący tym »pospolitakom« fiatom, może być brany pod uwagę? Tak, jest to luka w waszym ogólnym wykształceniu, kapitanie Olecki, powinniście ją czym prędzej uzupełnić. I jeszcze jedno. W warsztacie spędziliście około godziny... Ta lada, która przypomina wózek mecenasa Dobruszka... Więc około godziny w warsztacie, a ta droga wprawdzie nie jest zbyt uczęszczana, ale w ciągu godziny mógł tędy ktoś przejeżdżać. Gdyby nawet nie miał zapasu oleju, to jakiś ciągnik albo ciężarówka podholowałyby za opłatą »naukowca« do miasteczka i tam już by sobie poradził. Składa się to w coś, kapitanie Olecki? Składa i nie składa” — odpowiedział sobie nie bardzo zadowolony z tej odpowiedzi.

— Co tu można poradzić? — Olecki podrapał się ostentacyjnie w głowę. — Ma pań może linkę holowniczą?

„Naukowiec” nie miał.

— Ja też nie mam, to znaczy, przyjaciel nie ma — wyjaśnił Olecki wskazując ladę i postanowił nawijać dalej. — Pożyczyłem od niego wózek, bo w moim „maluchu” coś nie tak jest z zapłonem.

Nagle spojrzął na zegarek.

— Cholera, już jestem spóźniony! Kolega miał jechać na jakieś spotkanie, prosił, żebym się koniecznie uwinął przed dziesiątą...

— Ten „milioner”? — uśmiechnął się „naukowiec”.

— No cóż, każdemu wolno się wygłupić.

— Ale w miarę, prawda?

— Jasne, zawsze w miarę — potwierdził Olecki usiłując przechwycić spojrzenie tamtego, które w tym momencie powędrowało gdzieś w bok.

— I oczywiście wtedy, gdy ktoś się nazywa Marian Kubisz — dorzucił „naukowiec” patrząc



już teraz kapitanowi prosto w oczy. — I ma na sumieniu kolosalną liczbę czytelników swoich powieści.

Skąd wie, że Maniek jest pisarzem, że popełnia kryminalki? Pewnie Noguniowa... A jeśli nie od niej ta informacja, jeśli ten sympatyczny skądinąd chłopcaś ma w zapasie więcej tego typu wiadomości?

— Pan go czytał?

— Broń Panie Boże! — zaśmiał się „naukowiec”. — Znam tę radosną twórczość z relacji moich znajomych, którym nie wystarczy już do poduszki Raymond Chandler.

Chcąc nie chcąc kapitan także musiał wyszczerzyć zęby.

— Jeśli to panu odpowiada, to podrzucę pana do Pasieki. Z pensjonatu zadzwoni pan do jakiegoś warsztatu, a może ktoś będzie miał jakiś zapas oleju i wtedy pierwszą okazją wróci pan do swojego „merca”.

Kapitan spodziewał się, że „naukowiec” będzie miał na tę propozycję odpowiedź, nie przypuszczał jednak, iż znowu zostanie zбитy z tropu.

— Niestety, nie mogę zadzwonić z pensjonatu, gdyż telefon jest od wczoraj uszkodzony. Przecież inaczej nie jeździłbym do miasteczka. Poza tym nie bardzo mi się uśmiecha zostawiać samochód na pustej szosie, chyba pan-mnie rozumie. Poćmek jeszcze trochę, może ktoś nadjedzie... z cysterną oleju!

I znowu Olecki musiał towarzyszyć mu w śmiechu.

Potem łada ruszyła dość gwałtownie przed siebie, po kilometryrte otwartych łąk zaczął się las i zaraz ostry zakręt, który zakrywał widoczność jadącym od strony miasteczka. Kapitan odskokczywszy od mercedesa zamierzał skryć się w którejś z przesiek i stamtąd obserwować, czy po jego odjeździe „uzdrowiony” nagle mercedes nie ruszy z miejsca do Pasieki.

Obserwował wszystkie, nieliczne zresztą pojazdy, które zdążyły w jedną lub drugą stronę. W ciągu pół godziny zarejestrował dwa pegeerowskie ciągniki, jedną syrenkę, „malucha” i volkswagena z rejestracją „D”. Przez następne dwadzieścia minut nic się nie pojawiło na drodze, aż wreszcie zobaczył idącego poboczem „naukowca”.

Nikt mu nie pomógł, zostawił mercedesa na pustej szosie i szedł na piechotę do Pasieki?... Co z tego wynika? Może generalna pomyłka, a może to, że „naukowiec” jest takim samym graczem jak

Olecki i nie wydaje się, żeby w najbliższym czasie przestał grać.

„Olecki, twoje podejrzenie wisi na włosku. Jeszcze nigdy nie byłeś tak blisko kompletnej klapy. Jasne, że będziesz ryzykował do końca i teraz nikt ci już nie wytłumaczy, że mógłbyś postąpić w inny sposób”.

Zapalił papierosa, który wyraźnie mu nie smakował.

„Kłopot polega na tym, jak w tej sytuacji wrócić do Pasieki przed »naukowcem«. Szosą nie możesz jechać, bo się na niego natkniesz. Musisz być przed nim, więcej, Kubisz przynajmniej na godzinę powinien gdzieś wyjechać, żeby utrzymać w mocy kłamstwo, iż pożyczony od Mańka wózek miałeś zwrócić przed dziesiątą, gdyż Maniek się gdzieś wybierał. Ładnie to wszystko nie wygląda, ale jakieś wyjście, tak, kapitanie Olecki, jakieś wyjście to wy zawsze znajdziecie...”

Wysiadł z samochodu i rozejrzał się po lesie. Coś mu się przypomniało, jeszcze ze studenckich czasów. Wąskim leśnym duktem popędził ładą mając nadzieję, że lakier samochodu wytrzyma chłoszczące go gałązki krzewów.

Zaparkował przed pensjonatem, niemal pobiegł do leśniczówki i odrywając przyjaciela od maszyny do pisania, kazał mu natychmiast wynieść się z Pasieki. Nie może wrócić przed upływem co najmniej dwóch godzin. Zdziwiająco, że Kubisz zastosował się do tego polecenia bez żadnego komentarza.

Z Dobryniem umówił się kapitan o godzinie dziewiętej trzydzięci tam gdzie wczoraj, nad jeziorem. Ponieważ Olecki nie zjawił się o umówionej porze, porucznik „przeszmugłował się” jako do leśniczówki. Oczywiście, zakłócił spokój pracującego już od wczesnych godzin pisarza. Twórca miał zdaje się dobry dzień, bo okazał się i gościnnym, i wcale rozmownym gospodarzem. Gaworząc z „Dzieciną”, demonstrował mu na przykładzie jednego akapitu kilka wersji charakterystyk postaci podejrzanych o zbrodnię. Dowodził, że zmiana jednego szczegółu może sprowadzić już czytelnika na manowce, weksłować jego uwagę na ślad, który jest mylny. Każdy potencjalny czytelnik kryminalków jest detektywem, czytając powieść ma ambicje rozwiązać zagadkę na długo przedtem, zanim to zrobi autor.

— A tu kiszka z wodą! — wykrzyknął w pewnym momencie pisarz. — Pasztet jest inaczej doprawiony i w innym miejscu podają go do stołu!



I dalej wyjaśniał porucznikowi alchemię „kryminału”, a ten zdawał się go słuchać z rosnącym zainteresowaniem, chociaż miał już dosyć tego wykładu.

Olecki zjawił się jak wybawienie.

— Masz coś? — zapytał kapitan, kiedy zostali wreszcie sami.

— Co nieco.

— Ja też.

— To dobrze.

— „Dziecino”, zaraz ci wyjaśnię, dlaczego się spóźniłem...

— Widocznie musieliście.

— Właśnie.

— No to gadaj.

— Ty pierwszy...

Porucznik Dobryń zdążył już odetchnąć po wykładzie Kubisza i sięgając do swoich notatek wrócił do rzeczywistości.

— Ten Bodaryk już w chwili pożaru musiał mieć rozbity czaszkę i pogruchotane kości.

— Domyślałem się tego — powiedział Olecki, a natknąwszy się na pytające spojrzenie Dobrynia nie wyjaśnił, skąd ten domysł. — Co dalej?

— Chłopcy z daktyloskopii ustalili, że ślady palców na butelce pokrywają się z tymi, które znaleźli w norze stajennego.

— To, też było do przewidzenia.

Tym razem Dobryń już się zdenerwował:

— Co jest, do cholery? Jak wszystko wiesz, to po co ja się tu wygłupiam!

— Daj spokój, Jasiu. Co tam masz dalej?

— Stajnia nie była oczywiście zamknięta, boksy także. Gadaj teraz ty, mądralo.

„Mądralo” zreferował mu to, czego się dowiedział z Warszawy:

— sonda i obserwacje poczynione wokół osoby mecenasa Dobruszka dały właściwie niewiele, poza tym, że ten w ostatnich dniach nie opuszczał Warszawy i nie stykał się z nikim, kto zapisywałby dotąd z upodobaniem stronice milicyjnych kartotek;

— łada Kubisza i łada mecenasa są identycznego koloru, ich numery również są zbliżone;

— część obserwującej Dobruszka ekipy miała okazję poszaleć za państwowe pieniądze w hotelu „Victoria”. Asystowała Dobruszkowi przy obiedzie z jakimiś cudzoziemcami. Zastanawiające, że mecenas zachowywał się raczej swobodnie, natomiast współbiedniacy mieli zdecydowanie zaniepokojone i niepewne miny;

— mecenas Dobruszek często wyjeżdża za granicę, ma liczne zaproszenia, kontakty;

— jeśli chodzi o jego praktykę adwokacką, sprawa jest w toku... Zastrzeżenie: być może obiektem podjrzenia stał się człowiek bez zarzutu;

— Kubisz z wyglądu istotnie przypomina sylwetką mecenasa;

— inna sprawa, można powiedzieć, dająca do myślenia. Otóż ambasada francuska powiadomiona o śmiertelnym wypadku obywatela jej kraju na drodze do Pasieki, oświadczyła, iż w samochodzie marki Peugeot 504 podróżowały dwie, a nie jedna osoba. Dwóch obywateli francuskich na prawomocnych paszportach przekroczyło tydzień temu granice PRL. Jeden z nich, z chwilą przekroczenia tejże granicy, nie posiadał osobnego wozu. Należy przypuszczać, że ten drugi, który nie zginął w wypadku, zawicruszył się gdzieś po prostu w Polsce. Poszukiwania zostały już wszczęte, a ambasada podała w miarę dokładny rysopis poszukiwanego.

Na zakończenie kapitan wyjaśnił Dobryniowi, dlaczego się spóźnił. Wyjaśnił mu zresztą cały szereg innych rzeczy i dodał kilka szczegółów, których nie uważał za stosowne ujawniać przedtem.

Ustalili plan dalszego działania.

Zjawił się Kubisz i kapitan oznajmił przyjaciołowi bez żadnych ceregieli:

— Maniek, potrzebny mi jest wóz szybki i w miarę ekonomiczny.

— W porządku — odpowiedział pisarz. — Zwrócisz mi tylko za benzynę, wykupisz na najbliższej poczcie ubezpieczenie i może wtedy będę mógł wreszcie spokojnie popracować.

Podał Oleckiemu kluczyki i kartę rejestracyjną.

— Maniek... — zaczął Olecki.

— Skreślam cię, koleś — Kubisz powstrzymał się, żeby nie okazać, iż jest w jakiś tam sposób obrażony. — No cóż, działajcie panowie!

— Niech cię cholera! — nie wytrzymał Olecki. — Znam cię. Jeśli się uda, to będziesz przekonany, że wszystko przebiegło tak, jak ty to sobie wymyślisz. A jeśli kłops, to zaczniesz twierdzić, że miałeś zupełnie inną koncepcję! Tak to niestety, Maniuś, bywa, kiedy przypadkiem pałaszasz się obok mnie wtedy, gdy...

— Oddaj kluczyki! — przerwał mu zdecydowanie Kubisz i wyraźnie poczerwieniawszy wyciągnął w stronę Oleckiego dłoń.

Kapitan w odpowiedzi machnął tylko bez słowa ręką i wyszedł szybko z pokoju.

Dobryń zdał sobie sprawę, że jest świadkiem



dość nieprzyjemnej w końcu sceny. Nie wiedział tylko, że tego typu historie powtarzały się między kapitanem a jego przyjacielem tak często, że obaj zdążyli już wpaść w rutynę. Kiedy się pokłóci dwóch przyjaciół, to zazwyczaj nie chodzi tutaj o prawdziwe skłócenie, ale raczej o grę, która ich obu animuje i podnieca.

— Niezły typek, co? — zwrócił się Kubisz do porucznika.

— Jasne, że kawał drania — uśmiechnął się Dobryń.

\*

Słońce zaczynało już stygnąć jak wyłączony elektryczny piecyk. Ale żaru było jeszcze pełno w powietrzu, zawiesina upału zdawała się nawet tworzyć ledwo dostrzegalną mgiełkę, nasyconą spalinami i kotłującą się między dusznymi murami miasta.

Kiedy Olecki wsiadł do łady, stojący na parkingu samochód był wewnątrz tak gorący jak wnętrze hutniczego pieca. Sparzył sobie od razu tylek siadając w fotelu za kierownicą. Ruszył i przestał go w tym momencie — świadomie — obowiązywać przepisy dotyczące szybkości poruszania się na krajowych drogach. Miał do Gdańska średnią sto trzydzieści, poza tym miał także szczęście: nie złapał go żaden z rozstawionych gęsto na tej trasie milicyjnych radarów.

Ruch w mieście wydał mu się tak ślamazarny, że kilkakrotnie omal nie przejechał przez czerwone światła.

W gdańskiej komendzie nie powitali go wprawdzie z otwartymi ramionami — mieli dosyć własnych spraw na głowie — ale też nie odmówili mu natychmiastowej i to dość energicznej pomocy.

Sprawdzili numer telefonu, który im Olecki podał. Nazwisko abonenta zarówno im, jak i dzielnicowemu nie mówilo, w wiadomych kartotekach także nie zdążyło się dotąd zapisać. Wstępny i raczej pobieżny wywiad ustalił, że mieszkanie spod tego numeru, dość duża i chyba luksusowa kawalerka, nie było zbyt często używane, tak jakby właściciel znajdował się w ciągłych podróżach.

Na tę wiadomość Olecki uśmiechnął się nieznanie, czego informujący go podporucznik nie zauważył. Następnie kapitan zapytał, czy można by z Urzędu Miasta wydostać albo wypożyczyć odpowiedni dokument z fotografią, bo przecież

interesujący go obywatel musi być zameldowany, skoro posiada mieszkanie, i to zdaje się luksusowe.

Oczywiście, da się zrobić.

Trwało to niespełna godzinę, w czasie której kapitan rozejrzał się po komendzie, popisał o kolegów ze szkoły — akurat żadnego z nich nie było dzisiaj na miejscu, „byli w ruchu” — i zaproszony przez majora Staśkiewicza wypił z nim kawę popartą lampką „gościnnego” koniaku.

Potem miał już przed sobą dokument z Urzędu Miasta: „Inż. Zygmunt Łońko, lat 59, zawód: geodeta”.

Człowiek na przypiętej obok fotografii zdawał się patrzeć kapitanowi prosto w oczy.

— Mam pod ręką niewielu ludzi, ale dobrych — powiedział na pożegnanie major Staśkiewicz. — Bierz ich, Jerzy, mogą ci się przydać.

— Dzięki, stary — Olecki uściśnął dłoń majora i uśmiechnął się. — Tylko, rozumiesz, potrzebne mi są... świeże twarze.

— Wyobraź sobie, że coś takiego mam.

\*

Kapitan spojrzął na zegarek, dochodziła dwudziesta pierwsza.

Szklaneczka z przelamaną sokiem grejpfrutowym żytnią tęczywała mu w dłoni od światełek iluminujących bar.

Który to już lokal?...

Markował picie, co nie zmieniało faktu, że posucha w kieszeni zwiększała się w sposób zastraszający. Pomyślał z sentymentem o Kubiszu; w razie czego powinien podratować do następnej pensji. Stada „mewek” o twarzach anielic i wystających pośladkach obsiadły bar, stoliki, z trzepotem luźnych włosów i równie luźnych, pozbawionych stánika piersi, przelatywały obok niego, lądując niekiedy obok, lókiec w lókiec z kapitanem i „Misio” musiał nawiązywać z nimi rozmowę, stawiać drinki, umawiać się na bliższe kontakty. Przy tych okazjach próbował więcej niż dyskretnie zahaczać o osobę, która go interesowała. Było to trudne, bo otoczenie jakby wyczuwało w nim obcego, tak przypuszczał. Wersja marynarzyka, który po półrocznym rejsie zszedł na ojczysty ląd i któremu skurwiła się w tym czasie żona, była do przyjęcia pod warunkiem, że nie będzie o nic rozpytywał, tylko systematycznie udowadniał, że chce się utopić w morzu, tym razem w morzu alkoholu.



Tak, pieniądze się ulatniały i nikt ich nie zwrócił, ponieważ cała ta impreza była niejako „prywatnym” pomysłem kapitana Oleckiego. Oczywiście, nikt także nie zwrócił mu tych dwóch dni urlopu, a jak tak dalej pójdzie, to być może następnych kilku dni.

Spojrzał znowu na zegarek: dwudziesta pierwsza trzydzieści.

Zmienić znowu lokal? Zostały jeszcze dwa — trzy, jeśli wierzyć chłopcom, których przydzielili mu major.

„Do diabła z tym wszystkim!...”

Barman z kąśliwym uśmiechem już drugi raz zerknął na Oleckiego i jego ledwo nadpita szklaneczkę.

„Sukysyn!... Górzakowy Pan Bóg. Wic wszystko o wszystkich. Nikt tak o niczym nie wie. Porządny człowiek jest wobec niego równie bezsilny jak...”

Nie dokończył porównania. Po raz pierwszy tego wieczoru jednym ruchem ręki wlał w gardło zawartość tego, za co słono zapłacił. Zaraz potem wnerwił się sam na siebie. Dlaczego go poniosło i to niepotrzebnie? Ten uśmieszek, te spojronka pęta czyny w białym kitlu?...

Kapitanie Olecki, co jest?

— Ty, kurwamagiel — rzucił do barmana wysuwając do przodu pustą szklaneczkę. — Powtórz mi jeszcze tę wstępna zagrywkę.

Oko barmana zmieniło wyraz, natychmiast.

Żytnia z sokiem grejpfrutowym zmieszała się w szklaneczce kapitana błyskawicznie i nawet zapalniczka znalazła się w tej samej sekundzie przed papierosem, którego chciał zapalić.

— Ty, chodź no tu bliżej!...

Barman pochylił się usłużnie w jego stronę.

— Chodzi o to, że długo mnie nie było, rozumiesz? — powiedział Olecki i patrząc tamtemu w oczy spróbował uśmiechnąć się dwuznacznie, a jednocześnie tak, żeby ten uśmiech był jak zgrzyt zębów. — Straciłem kontakt. Gra ci już coś w duszy?

— Tak jakby.

— Pośpiesz się, „Misiu”.

— Właśnie próbuję myśleć...

— Nie pieprz się z myśleniem, robią to za ciebie inni, gorzej czy lepiej, ale robią — Olecki rzucił na ladę banknot z nominałem dwóch tysięcy. — Postaw strudżonym wędrowcom i szepnij mi coś na dobranoc.

Wychodząc z knajpy jeszcze raz w świetle

latarni przyjrzał się dokładnie fotografii, którą podsunął barmanowi.

„To skurczybyk!...”

Wsiadł do taksówki i chwilę potem ruszyła za nią druga, nawet nie zauważył, kiedy chłopcy majora Staśkiewicza znaleźli się na postoju tuż za nim.

I znowu!...

Przepatrzył szybko salę restauracyjną, bar, intymne zakamarki tego lokalu. Nic. Bawiło się wszystko, szumiało. Zespół na estradzie zaczynał już podrzynać gardło jakiejś popularnej melodii. Kelnerzy z każdym podejściem do stolików byli coraz bardziej pijani. Biesiadnicy wstępowali tymiż stolikami w alkoholowe niebo, towarzyszące im kobiety rozbierał chichot. Słowem, lało się i chlalo.

Kapitan zauważył jednak, że przy jednym ze stolików siedzi tylko samotny, łysawy facet, chociaż butelka, dwa kieliszki i nadjedzone węgorze mogły wskazywać, że raczone się tutaj we dwójkę. Facet miał w wyrazie twarzy jakiegoś napięcie, oczy biegały mu od stolika do stolika, co chwilę zmięta chusteczką ocierał z potu łysinę. Nie była to fizjonomia, która mogłaby przypaść do gustu komukolwiek, a zwłaszcza Oleckiemu. Ciekawe, kim jest jego kompan, wszystko nasuwało przypuszczenie, że łysy jest raczej w męskim towarzystwie.

Kapitan zawrócił do szatni i spostrzegłszy tabliczkę z napisem „Toaleta”, przypomniał sobie, że już od dawna powinien załatwić najprostszą z potrzeb. Poza tym może natknie się w toalecie na kompana łysęgo.

Zbiegł po schodach na dół. Ten niezbędny pod każdym względem przybytek okazał się wyłożony różowymi kafelkami, jakąś mozaiką i szerokimi na całą ścianę płaszczyznami luster. Salon, nie toaleta.

Już miał zamiar wyjść, kiedy usłyszał, że w kabinie obok ktoś spuszcza wodę. Zaraz potem ten osobnik otworzył drzwi i zaczął sobie poprawiać przed lustrami przekrzywioną nieco, gęstą, kruczoczną czuprynę.

Wówczas Olecki stanął tuż za nim.

Lustra były teraz jak odbitki fotografii, którą trzymał w portfelu i wydawały się z każdą sekundą zwiększać liczbę odbić.

Olecki odezwał się cicho:

— Dobry wieczór, panie Bodaryk. Może byśmy się tak czegoś napili?



Nocą szosy są raczej puste, czasem tylko pojawi się na nich jakaś zapóźniona ciężarówka, więc Olecki postanowił do maksimum wykorzystać możliwości lady. Bez przerwy robił zresztą swoisty rachunek sumienia: ani stopień, ani służbowa legitymacja nie uchroniłyby go przed konsekwencjami z powodu niebezpiecznego przekraczania dozwolonej szybkości. Cóż z tego, że się śpieszył i że chodziło o coś więcej? Na drodze każdy jest równy.

Wjeżdżając do jakiejś uśpionej już wsi, przed którą stał jak wyrok nakaz „70”, kapitan — tknięty dziwnym przeczuciem — zwolnił. I bardzo dobrze, bo zaraz potem dostrzegł ukryty na poboczu radiowóz i zainstalowany przy nim „radarek”.

Po dwóch godzinach jazdy skręcił na drogę do Pasięki.

Tu nieco zwolnił, zmęczony już albo raczej uczulony na wyrastające z szosy „języki”. Nigdy nic nie wiadomo. Długie drogowe światła garnęły do siebie i zarazem rozpychały na boki wszystko, co było w polu widzenia. Włączył radio, usłyszał, że przed chwilą minęła północ.

Nagle w rozdartej długimi światłami nocy coś się gwałtownie zaczęło dziać.

Ciężka, wysoka sylwetka biegła w stronę reflektorów samochodu. Na moment odwróciła się plecami do tyłu i dwa strzały zajarzyły się w ciemności.

Ktoś, kto go ścigał, nie wychodził jeszcze z mroku.

Olecki widział już teraz wyraźnie spoconą i pełną zaciekłości twarz.

To był „naukowiec”. Uzbrojony.

Kapitan pozwolił mu podbiec jak najbliżej do lady. Potem zgasił nagle światła, wyciągnął ze stacyjki kluczyki, wyskoczył z samochodu i zaczął się w pobliżu słysząc już podwyższone nocą głosy nadciągającej pogoni.

„Naukowiec” rzucił się do wozu. Nie widząc kluczyków w stacyjce usiłował manipulować przewodami, odłożył na bok pistolet.

Wtedy Olecki skoczył, wyrwał „naukowca” z samochodu i potężnie oberwał. Wydało mu się, że szcękę ma na plecach i zaczyna się dławić własnymi zębami. Odrzucony ciosem podniósł się jednak z ziemi. Tamten ciągle jeszcze manipulował gorączkowo przy przewodach chcąc uruchomić samochód. Kapitan, zanim pięść malarza

Stanka naruszyła nieco jego samopoczucie, zapamiętał, że ten odłożył pistolet na przednie prawe siedzenie, zapalivszy uprzednio światełka pozycyjne.

Podczołgał się cicho do wozu, otworzył nagle drzwi i schwyił w dłoń pistolet.

— Spokojnie, panie Stanek, bez cudów — powiedział bezbarwnym głosem.

„Naukowiec” zareagował śmiechem:

— Możesz mi, psie, nagwiźdać!

Olecki miał w tym momencie ochotę nacisnąć spust.

— W tej zabawce już nic nie ma. Wszystko zdążyłem wyprztykać — oczy „naukowca” pozbawione teraz szałki błysnęły nieprzytomnie. — Sądziłem, że cię już posłałem poleconym Panu Bogu. Nic się nie martw, zaraz zrobimy małą powtórkę.

Kapitan cofnął się, skierował lufę pistoletu w ziemię i dotknął lekko spustu. Jak zapalka trzaskała sucho iglica, nie było strzału.

„Nie mam z tym skurwielem żadnych szans”.

Olecki cofnął się jeszcze bardziej. O trzy metry przed nim majaczyła w światełkach pozycyjnych sylwetka „naukowca” gotującego się do skoku.

I wtedy, jak robaczki świętojańskie, pojawiły się zewsząd błyski latarek.

Punktowany tymi ognikami „naukowiec” spróbował po swoim zagrać ostatnią scenę.

— W porządku, psy! — wykrzyknął stojąc na środku szosy. — Macie jedną szansę, możecie strzelać. Ja tej szansy nie mam, ale przysięgam wam, nikt mnie żywcem nie weźmie. Nikt! No, który pierwszy się ruszy? Czekam!...

Olecki dopadł lady, wcisnął kluczyki w stacyjkę i zapalił drogowe światła. Na przestrzeni kilkudziesięciu metrów zrobiło się nagle widno jak w dzień. Można było teraz unieruchomić „naukowca” celnym strzałem w nogę. Ale to ostateczność. Wydawało się, że ogromnieje w światłach, że obracając się na wszystkie strony prowokuje wyczekującą ciemność.

Wreszcie zaśmiał się szyderczo i to wystarczyło. Z mroku wynurzył się Dobryń.

„Dziecina” o prawie dwie głowy niższy od tamtego i o kupę kilogramów lżejszy znalazł się nagle w rozwidnionym reflektorami polu i z wolna zaczął zbliżać się do „naukowca”.

— Słuchaj, to nie ma sensu — powiedział niemal łagodnie. — Po co ci jeszcze więcej kłopotów? Tamten lalusz chyba wyżyje, czapa ci nie grozi.



— Do mnie mówisz, kurczaczku? — zaśmiał się znowu „naukowiec”. — Zbliży się i powtórz to tak, żebym lepiej słyszał. Powiedz mi to na ucho.

Porucznik podszedł i zatrzymał się o krok przed wysokim i jak gdyby rozkraczonymi nogami wrośniętym w szosę „naukowcem”.

— No dalej, łapki do tyłu — rzekł spokojnie — założymy ci nasze obrączki, a potem pojedziemy tam, gdzie się wszystko powinno wyjaśnić. Zrozumiałeś?

— O żeż ty!... — zrozumiał tamten i odrzucił od siebie „Dzięcinę” prawym sierpem.

Mogłoby się wydawać, że nie w naturze nie zostało nadwyżęzone: słabi są po to, żeby nawet ich ambicje nie przekraczały ustalonego pułapu.

Olecki chciał już wejść do akcji, kiedy spostrzegł, że Dobryń podnosi się z ziemi i znowu zbliża do przeciwnika.

— Radzę ci, zrób to, o co cię prosiłem — porucznik i tym razem zachował w głosie spokój.

— Nie masz jeszcze dosyć?

Śmiech zachrobotał „naukowcowi” w gardle, cała maszynaria jego mięśni szykowała się już do następnego uderzenia...

Trwało to sekundę, może nawet pół sekundy.

Dobryń wystrzelił nagle w górę, w tym locie zwinięty był niemal w kłębek, opadając wyrzucił raptownie do przodu nogi, trącił nimi stosunkowo lekko „naukowca” w klatkę piersiową i stojąc znów na ziemi zaczął się rozglądać za czapką, która mu już przy poprzednim ciosie zleciała z głowy.

„Naukowiec” leżał na szosie i kwiczał.

\*

W dwa dni później, już po pierwszych wstępnych przesłuchaniach Bodaryka i spółki, a właściwie Dobruszka i spółki, zebrali się wieczorem w leśniczówce przy lampce czerwonego wina.

Kubisz w jednej ręce ścisnął kieliszek, w drugiej trzymał długopis, którym przymierzał się niecierpliwie do notatek.

— Założmy, że mogę z tego napisać jakąś książkę, która trzymałaby się kupy. No, załóżmy! — mówił podnieconym głosem. — Jednakże wiele elementów tej sprawy jest ze sobą tak luźno powiązanych, że zdaje się to wyglądać na jakąś mistyfikację z waszej strony.

— Tylko pozornie — wtrącił Dobryń. — Niemniej trzeba przyznać, że działaliśmy czasem w ciemno.

— Otóż to! — wykrzyknął z satysfakcją pisarz.

— Ale skutecznie — dodał z nieco ironicznym uśmiechem porucznik.

— Zaczniemy lepiej od początku — Olecki upił łyk ze swojej szklanceczki. — Bodaryk zatrudnił się jako stajenny cztery lata temu. Tu, w stadninie, miał niejako pozycję wyjściową, szalenie wygodną i pozwalającą na operatywne działanie. Zresztą był to pomysł mecenasa Dobruszka. Po latach spotkali się kiedyś przypadkowo w Szczecinie. Każdy miał w zanadru jakieś argumenty i to na tyle silne, żeby drogą wzajemnego szantażu dojść do wspólnego interesu. Silniejszy argument miał jednak „mecenas” Dobruszek, przedwojenny jeszcze aferzysta znany wówczas pod innym nazwiskiem. Chodziło o to, że Bodaryk, wywieziony do Oświęcimia, spełniał tam funkcje dosyć podłe. Potem został z grupą więźniów wysłany na specjalne roboty do tzw. Prus Wschodnich. Występował się nadal hitlerowcom, ale jednocześnie oko miał nie z guzika. I tu się właściwie zaczyna cała historia...

— Drań bo drań, ale musiał jednak naprawdę kochać konie — rzucił nagle Dobryń. — Ta otwarta w chwili pożaru stajnia, pootwierane boksy... To był jego pierwszy fałszywy krok.

— Między innymi — powiedział Olecki i ciągnął dalej: — Była ofensywa i szkopy spieprzały aż się kurzyło. Zdarzało się, że zostawiali nawet to, co powinni zniszczyć w pierwszej kolejności. Kiedy przeszła armia, zaczął się raj dla szabrowników. Bodaryk był już na miejscu, nie interesowała go krótkotrwała wartość gratów i innych pierdułek. Archiwum „Zet”, to było coś! Zbierał się do działania, wiedział, gdzie to może być ukryte, nie był jednak do końca pewien. Wtedy pojawili się w miasteczku ludzie pod dowództwem sierżanta Romana Zalewskiego. Im także, a nawet przede wszystkim, chodziło o to archiwum. Na jego stronicach były nazwiska zakonspirowanych starannie ludzi z różnych stron Europy. Ludzie ci współdziałali z gestapo, SS, służbami wywiadowczymi Wehrmachtu. Znajdowały się tu także nazwiska...

— W końcu jednak Bodarykowi udało się ubiec sierżanta Zalewskiego — domyślił się Kubisz.

— Niestety. Jak powiedziałem, Bodaryk i Dobruszek spotkali się po latach. Mecenas to był mózg i kontakty. „Naukowiec” to niejako stacja przekaźnikowa łącząca ich obu, stajennego i Dobruszka. „Naukowiec” nigdy nie był zdecydo-



wany, za kim się opowiedzieć, wiedział tylko, że jest to interes, duży interes. Dobruszek odnajdywał ludzi z archiwum „Zet”, zaczynał wstępne prace. Argumenty, właśnie to archiwum, miał Bodaryk, miał dosłownie w ręku, bo nawet „mecenasa” nie zdradził, gdzie je przechowuje, gdzie ukrywa. Jeden o drugim wiedział bardzo dużo, ale właśnie fakt, że najistotniejsza z łączących ich części jest dla jednego z nich w praktyce niedostępna, powodował ciągłe tarcia i konflikty. Kibicował temu „naukowiec”, do czasu. W pewnym momencie opowiedział się jednak za Bodarykiem. Wówczas postanowili się Dobruszka pozbyć i chcieli to załatwić w sposób, że tak powiem, niewinny. Stąd pomysł z „językami”. Już wcześniej „naukowiec” dowiedział się od Noguniowej, kiedy ma przyjechać Dobruszek. Miał zjawić się w Pasiece tego samego dnia, który i my, drogi kolego, na długo zapamiętamy. Przygotowali więc „języki”. Trochę stalowego drutu, kołba do lutowania... — kapitan zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko. — Bodaryk z wjeży triangulacyjnej śledzi szosę, popija przy tym zdrowo. Od trzydziestu lat nie może się już obejść bez gorzałki. Widzi na drodze ładę, jest identyczna jak ta, którą porusza się Dobruszek. Lusterkiem daje znak „naukowcowi”, który zaczajony w krzakach na łące odbiera sygnał, biegnie na szosę i podrzuca „języka” na którego ty się, Maniek, nadziewasz. Tych „języków” musieli chyba wyprodukować więcej, jednego z nich „naukowiec” musiał zgubić, inaczej ten rozbestwiony szybkością Francuz nie załatwiłby sobie tak prędko zejścia z tego świata.

— Dwóch Francuzów — poprawił kapitana Dobryń.

— Oczywiście, dwóch, ale o tym później. Cała ta impreza z pozbyciem się Dobruszka za pomocą „języka” okazuje się, jak wiadomo, niewypałem. Szkoda, bo „naukowiec” już kilkakrotnie wyjeżdżał za granicę i rozpoznał teren. W „interesie” mogłoby być ich tylko dwóch. Spotyka się po południu z Bodarykiem i postanawiają jeszcze trochę wyczekać. Ale Bodaryk zostając sam nie może sobie darować pomyłki, podbechtuje się ciągle alkoholem. Zapada zmierzch, a on krąży ciągle wokół pensjonatu — w jego progi nie ma wstępu. Zabawne, co? On, bywalec najbardziej luksusowych knajp Wybrzeża. Nienawidzi ludzi, z żywych istot lubi naprawdę tylko konie. Ma już dosyć pieniędzy, ma dosyć „organizującego go” Dobruszka. I nagle widzi tamtego przez okno, Dobruszek zajmuje ten sam co zawsze stolik.

Ciemny garnitur, muszka i w tym wszystkim ty, Maniek, który w przyćmionych już nieco oczach Bodaryka przypominasz z sylwetki „mecenasa”. Stajenny biegnie zatem do swojej „nory”, bierze sztucer, wie także, iż w pobliżu jest kilka koni na nocnym wypasie. Na oklep — był kiedyś dżokejem — cwałuje z powrotem pod pensjonat. I strzela z konia, tak jest, siedząc na koniu strzela, nie musi wchodzić na dach któregoś z samochodów, żeby znaleźć się na wysokości okien. Dlatego tak szybko zniknął, kiedy wybiegiem zaraz po strzałach. Tylko, że mnie się wydało, iż zapamiętałem coś jakby tetent... To taki mój „wewnętrzny magnetofon”, który w parę godzin później nagrał — nie mogłem zasnąć i wyszedłem na krótki spacer — nagrał strzęp rozmowy między Bodarykiem i „naukowcem”. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że to głos malarza Stanka. Na drugi dzień postanowiłem się już nim „zaopiekować” i zapamiętać także skreślony przez telefonistkę numer telefonu do Gdyni, umówiliśmy się także z „Dzięciną”, że będzie go miał bez przerwy na oku plutonowy Podgórski, udający z powodzeniem biwakującego w pobliżu studenta. Wróćmy jednak do wypadków nocy... Po tej rozmowie z „naukowcem”, który nawymyślał mu od pijanic i ostatnich idiotów, Bodaryk doprawia się jeszcze bardziej. Na pół pijany idzie przez pola. Chciałby się już ze wszystkiego wycofać, chciałby po prostu zniknąć. Idzie, może nawet rozmawia sam ze sobą. Może ma już wszystkiego dosyć, od lat prowadzi podwójne życie. To mężczy, stąd ciągle picie. Zbliży się do szosy, która prowadzi do Pasieki. Nagle słyszy warkot samochodu, potem straszliwy łomot, wybuch płomieni. Biegnie na miejsce wypadku. Widzi martwego kierowcę, widzi martwego obok pasażera. Pasażer jest tej samej postury co on... Zniknąć, uciec, na pewno uda mu się jakoś przeczmyglować do Szwecji. Nie zważając na płomienie wyciąga z rozbitego wozu zwłoki pasażera. Dźwiga je, silny działającym jeszcze alkoholem, trzy kilometry do lasu. Makabra? Na pewno, ale on w obozie przyzwyczaił się nie do takich rzeczy. Rozbiera trupa, nakłada na niego swój uniform stajennego. Ubranie Francuza zagrzebuje nieopodal, potem porzuca nieopatrznie kanister po benzynie. Biegnie prawie nagi, ciągle jest teraz w biegu. Wpada do swojej „nory”, wkłada ciuchy, które pozwolą mu podróżować bez podejrzeń. Kanister z benzyną stoi w kącie, zostawił go tu kiedyś „naukowiec”. Jeszcze tylko jedno, jakaś pałatka, brezent, żeby



było w co zebrać strawione ogniem zwłoki... No i pozoruje przypadkowe podpalenie stajni, w której się zwęglą doszczętnie.

— No dobrze, a co z tym podpatrzonym na poczcie telefonem? — spytał po chwili milczenia Kubisz.

— Ryzykowałem — odpowiedział Olecki. — Ale trzeba go było sprawdzić. „Naukowiec” nie jest głupi. Podobnie jak i my domyślał się, że z tym podpaleniem może być coś nie tak. Miał numer Bodaryka vel inżyniera Zygmunta Łońko. Niepokoił się. Kiedy nic nie wyszło z połączenia, pojechał w godzinę po mnie na Wybrzeże, Jasiu... — kapitan zwrócił się do Dobrynia — to stary cwaniak, musiał nas obserwować albo coś przewąchać, inaczej nie robiłby tego numeru z brakiem oleju w silniku i konsekwentnie nie zasuwał na piechotę do Pasicki.

— Jasne — odparł porucznik. — Tylko, że my, a właściwie nasz „student”, także nie chcieliśmy nic stracić z przyjemności oglądania jego postaci.

Kubisz zaśmiał się:

— No właśnie, a jak to było w końcówce?

— Tu muszę powiedzieć, że trafiłeś, Maniek, w dziesiątkę. Ten pięknota od fiata 128 sport i zamilował do koncertów skrzypcowych Vivaldiego okazał się istotnie człowiekiem Dobruszka. Tylko że nie jest to odstawiony „siostrzeniec”, ale równie zimny drań jak „naukowiec”. Opuścił na dzień Pasiekę, bo zauważył, że coś się w interesie psuje. Pojechał do Warszawy i porozumiał się z Dobruszkiem. Wrócił przywożąc zdecydowane rozkazy „mecenasa”. No i musiało dojść do „przyjacielskiej” rozmowy między nim a „naukowcem”, dlatego ten nie podążył zaraz po mnie na Wybrzeże. Pięknota jest w szpitalu i nawet na pewno się wylży. Natomiast malarz Stanek jeszcze do dzisiaj pokwękuje trochę — zakończył Olecki uśmiechając się w stronę Dobrynia.

— Wiesz, Jerzy — porucznik puścił do niego oko — pewnie można to było inaczej załatwić, ale bardzo zdenerwował mnie ten „kurczaczek”...

— Zaraz, o czym wy mówicie?

Długopis Kubisza zatrzymał się w pół zdania.



# Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07



W latach 1976 - 81 w serii „Ewa wzywa 07...” ukazały się

- 85 Ignacy Seweryn Kryński — Szwedka
- 86 Stefan Kos — Śmierć krąży o zmroku
- 87 Andrzej Krzysztof Barcz — Madonna z Płaskowej Góry
- 88 Jerzy Liniowski — Rekontra
- 89 Marian Lohutka — Odwołać poszukiwania
- 90 Zygmunt Zeydler Zborowski — Dwie lewe nogi
- 91 Jerzy Edigej — Tajemnica starego kościołka
- 92 Zygmunt Zeydler Zborowski — Kardynałny błąd
- 93 Danuta Frey — Ostrze noża
- 94 Janina Maryna — Rozłączył nas na zawsze
- 95 Zygmunt Zeydler Zborowski — Eliza nie zgodziła się na rozwód
- 96 Marian Lohutka — Pełta bieszczadzka
- 97 Tadeusz Zolnierowicz — Pajak rozpina sieć
- 98 Ryszard Smolaga — Ślad prowadzi do „Delfy”
- 99 Andrzej Barcz — Rendez-vous w hotelu „Royal”
- 100 Zygmunt Zeydler Zborowski — Major Downar zastawia pułapkę
- 101 Jan Jerzy Koprowski — Maskotka
- 102 Jerzy Edigej — As trefl
- 103 Marcin Zenon Borkowicz — Off side
- 104 Aleksander Gabrutiewicz — Policzycie narzeczoną i unrzeć
- 105 Krzysztof Ziemiński — Usmiech fortuny
- 106 Danuta Frey — Hotel „Karnorum”
- 107 Jadwiga Kuflińska — Magiczny paplerek
- 108 Helena Sekula — Ośmia gwardzistów w czarnych bermudach
- 109 Marek Kymuszek — Sprawa osobista
- 110 Tadeusz Zolnierowicz — Cios za ciossen
- 111 Tadeusz Kwiatkowski — Turysta
- 112 Jan Jerzy Koprowski — Śmierć w samolocie
- 113 Jerzy Romuald Milicz — Włzyta u zmarłej
- 114 Barbara Gordon — Dolina nocy
- 115 Tadeusz Lombrovecz — Śmierć pod Obódową
- 116 Zygmunt Zeydler Zborowski — Śmierć grabarza
- 117 Tadeusz Zolnierowicz — Od zaroku do zmroku
- 118 Kazimierz Tkacz — Nikt nie żałował ofiary
- 119 Aleksander Gabrutiewicz — Kwadratura trójkąta

ISBN 83-207-0404-9

Cena zł 12.—